

ROCZNIK II. **1869.** ZESZYT I.

OJCIEC NIKON.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

T. T. J.

Trzeba tylko serca i rozumu zażyć, to pokonamy wszystkich nieprzyjaciół.

Józef Puławski.

I.

Ślepy lirnik.

Jest jeden sposób postępowania, którego państwa silniejsze używają względem słabszych, w celu obrócenia słabości tych ostatnich na swoją korzyść. Jest to: nastręczanie się z przyjacielskiemi usługami — przyjacielskiemi i rozumie się, bezinteresownemi. Tego sposobu używały wszystkie bez wyjątku zdobywcze mocarstwa. Usługi, przyjaźń, rady, poręki, przyrzeczenia i bezinteresowność kończyły się zawsze na tem, że obsypany niemi nietylko tracił niezależny byt, lecz ponosił ciężką karę za tę straszną zbrodnię, iż niezależność posiadał. Śmiał posiadać niezależność?... Na stos z nim!...

Ta stara historja powtórzyła się w Polsce, w ostatnich czasach istnienia naszej nieszczęśliwej ojczyzny. Moskwa nastręczała się z przyjacielskiemi usługami wszystkim, a szczególnie tym, co usług i pomocy potrzebowali. A któż ich nie potrzebował? Skarbnica usług i pomocy stanęła otworem; więc pospieszyli czerpać z niej wszyscy, co się czuli pokrzywdzonymi, zagrożonymi lub choćby... nie dość potężnymi.

Nie masz w języku polskim słów dość dobitnych na wyrażenie zgrozy, jaką obudza panowanie Sasów i pierwsze cztery lata panowania Stanisława Augusta. Coś nakształt smrodu rozkładowej zgnilizny od tamtych czasów zalatuje. Sto lat przeminęło, a jeszcze czuć ów smród, który napełniał polityczno-społeczną atmosferę, i otaczał dziejowe postacie takich mężów, jak Radziwiłł Panie kochanku, co byli, uczciwszy uszy, głupcami, lub jak Branicki, co byli łotrami, lub jak Czartoryscy, co usiłowali ratować naród środkami empirycznemi, które dlatego w Polsce miały być skutecznemi, że w innych narodach okazały się zgubnemi. Mężom tym ciemna szlachta krzyczała wiwaty i szła za nimi owczym pędem.

— Wiwat Radziwiłł! filar Litwy, książę co ze szlachtą do jednego kotła zasiadał i w gęby się z nią całował!... — a ten filar stanął na czele konfederacji Radomskiej.

— Wiwat Branicki! przyjaciel aliantki Polski i protektorki złotej wolności!... — a ten przyjaciel ojczyznę za gotówkę sprzedawał.

— Wiwat Czartoryscy! wielkie głowy!... — och! głowy!... którym się wydało, że można naród karmić trucizną, i to mu na zdrowie wyjdzie.

Wszyscy czerpali w otwartej uprzejmie skarbnicy moskiewskiej. Radziwiłły nie brali pieniędzy ale radę, Braniccy i pieniądze i radę, Czartoryscy radę i orężną interwencyę. Wobec historji wszyscy oni stoją jednakowo

obciążeni, i łagodzące okoliczności przysługiwać mogą tylko tym, co nie wiedzieli co czynili — a mianowicie takim, jak Panie kochanku, który głęboko wierzył, że Wołodkowicz poszedł do nieba za to, że dwóch popów szyzmatyckich na unję nawrócił, a trzeciego, co się nawrócić nie chciał, pod batogami zabił.

Trzy te postacie charakteryzują dokładnie moralny ze strony ujemnej stan ówczesnego społeczeństwa polskiego. Ze strony ujemnej — powtarzamy. A więc była dodatnia? — była, lecz ukryta w głębi narodowego ducha, w tajemnicach opatrznościowego powołania Polski, zagadkowa, zagubiona — i nic dziw. Nastała dla Polski chwila próby, chwila dziejowego przełomu; przyszła na nią polityczno-społeczna kryzis, wymagająca olbrzymich zasobów samowiedzy na to, aby mogła być szczęśliwie przebytą.

Czy Polska posiadała jakie zasoby? — Od 1648 do 1717 jeden ciąg domowych wojen i wewnętrznych niesnasek; od 1717 do 1768 jeden ciąg obumarcia. Przez sześćdziesiąt dziewięć lat przewaga moralnego wpływu Jezuitów; przez pięćdziesiąt jeden lat polityczny pasek saski. Alwar i rozpusta, ciemnota i obojętność na losy ojczyzny, swawolnictwo wyobrażające wolność, służebność względem magnatów wyobrażająca porządek, fanatyzm wyobrażający religijność: oto były zapasy, przez ubiegłych sto dwadzieścia lat zgromadzone, z któremi ojczyzna nasza przebyć miała kryzis. Mogłyż jej one posłużyć do wyjścia zwycięzko? — Jako żywo — nie. Trzeba było zmieniać, przerabiać, odnawiać posady, na których spoczywał wiekowy gmach rzeczypospolitej — a na to brakło czasu. Zgnilizna wabiła robactwo, które lazło, — lazło z północy, z południa, z zachodu — lazło swobodnie przez niezaopatrzone granice, lazło wzywane, zapraszane przez dyssydentów przeciwko katolikom, przez katolików przeciwko dyssydentom; przez monarchistów przeciwko republikanom, przez republikanów przeciwko monarchistom; przez króla przeciwko narodowi, przez naród przeciwko królowi; — lazło w postaci zepsucia strasznego, obrzydliwego, poniżającego, upokarzającego, upadlającego i ogarniającego wszystkie klasy i wszystkie stany społeczeństwa, powołane do myślenia o losach ojczyzny. Duchowni i rycerstwo, magnaci i ubodzy wyścigali się na drodze zepsucia. Nie można było przygotować lepiej własną ruinę, nie można było stworzyć więcej stron słabych i ujemnych, z którychby nieprzyjaciel mógł korzystać.

A strony dodatnie taiły się w cieniu, ukryte głęboko w narodowem poczuciu, które samopoznania nie posiadało. Było ono ślepem jak miłość, było samą miłością.

Gdyby Polska znalazła się była w położeniu Francyi i wyrobiła w swojem łonie stan średni, nie ulega wątpliwości, iżby w chwili kryzis posiadała była przysposobione przez filozofię siły moralne, zdolne z ruin odbudować nowy gmach. Niestety! wojny domowe i wewnętrzne niesnaski przeszkodziły jej zajmować się filozofią. Siły moralne zześrodkowały się w poczuciu — w miłości, która była w stanie rzucić naród do walki, lecz nie była w stanie uzbroić go do niej należycie. Brak sił trzeba było łatać wiarą, przesądami i politycznemi błędami. Ztąd w Konfederacji Barskiej postrzegać się daje sprzeczność pomiędzy czynem a słowem. Krew się lała o wyzwolenie społeczne i polityczne, a manifesta prawiły o wierze katolickiej i wolności szlacheckiej; naród do walki stawał sam i wydobywał ofiary sam z siebie, a liczył na pomoc dworów. Ten jest powód, dla którego Konfederacja Barska, będąc w gruncie tem samem co powstanie Stanów Zjednoczonych i wielka rewolucja francuska, różni się od nich... manifestami. Nie było komu napisać deklaracji praw człowieka. Dokonanym więc został bezwiednie czyn tej samej doniosłości, co amerykańskie powstanie i francuska rewolucja, tylko osłonięty skorupami, które z nim nie licowały. Przez Polskę danem zostało hasło do walki o prawa narodów i prawa człowieka, hasło, które w Ameryce i Francyi opatrzono i wsparto zaczerpniętemi w rozumie powodami i motywami, nad któremi konfederaci nie umieli się zastanowić. Szli oni naprzód, na oślep przeciwko temu, co występowało w charakterze przemocy i narodowego poniżenia, a więc: przeciwko Moskwie, przeciwko królowi, przeciwko reformom i przeciwko dyssydentom, bez względu na to, że Moskwa, król i reformatorzy posługiwali się sprawami sprawiedliwości w celu upozorowania i zamaskowania zgubnych dla Polski działań. Tak dziś gabinet petersburski posługuje się sprawą słowiańską; tak teńże sam gabinet używa przeciwko nam pozorów wyzwolenia prawosławia z pod wpływów katolicyzmu.

Prawosławie nazwać można koniem, na którym Moskwa jeździ od czasów Aleksego Michajłowicza. Wygodnie jej na nim. Na nim, dzięki Jezuitom, wjechała do Polski, nim, dzięki naszemu nierozumowi, każącemu nam potępiać szyzmę dla rzekomej opieki, jaką nad nią Moskwa rozpościera, posługuje się i dziś.

Szyzma?... Co nam do niej!... Czy do nas należy wnikać w czyje religijne sumienie i pytać, kto jak pana Boga chwali? — czy wedle form przepisanych przez Rzym, czyli też wedle zmodyfikowanych przez Focjusza i Lutra? Czy to należało do naszych ojców?... Przodkowie nasi inaczej na tę sprawę się zapatrywali, kiedy dawali w Polsce przytułek prześladowanym dyssydentom, inaczej kiedy uwierzyli, że są przednią strażą rzymskiej polityki. Dwojakie też były owoce tego dwojakiego zapatrywania się. Póki trwała pierwsza, Polska była potężną, szanowaną, kwitnącą, rozumną; gdy nastało drugie, poszła na łup sąsiadów, z których każdy znalazł pretekst do wmieszania się do jej domowych spraw. A największy pretekst miała Moskwa... z powodu prawosławia, wyznawanego przez większą połowę polskiego narodu. Prawosławia też chwyciła się, jako przewodnika, który ją wprowadzał w najtajniejsze zakątki do-

mowego życia Polski, i odkrywał przed nią wszystkie jej słabości i ułomności.

Nic dogodniejszego i nic pożądańszego nie mogło być dla Moskwy, jak zostać opiekunką prawosławia.

Nic zgubniejszego nie mogło być dla Polski, jak pozwolić, aby Moskwa prawosławiem się opiekowała.

Lecz — stało się. Po szkodzie dopiero poznajemy błąd. Upadłszy na dno przepaści, zmierzyliśmy jej głębokość i dowiedzieliśmy się, że... można było nie upaść. Wiadomość ta przyszła trochę za poźno; jednakże możnaby dziś jeszcze z niej korzystać, w razie, gdybyśmy mieli szczerą a nieomylną ochotę wydobyć się z tej przepaści. Kto wie, ażali też ochota kiedy nie przyjdzie. Zanim to nastąpi, opowiemy ustęp z epoki wielce zajmującej, a raczej pokusimy się — odmalować piórem jedną z jej stron.

Przenieśmy się więc myślą w rok 1767, ale nie na żaden sejmik, ani też na trybunał, ani do magnackiego dworu. Oprowadzano nas po nich do przesytu. Wskrzesiciele polskiej przeszłości nie bawili czytającej publiczności czem innem, tylko wywoływaniem na scenę szlacheckich postaci, jakby w Polsce, oprócz szlachty, wodzącej się za łby, obradującej po pijanemu, biorącej w skórę na kobiercach i modlącej się ze szczególnym ferworem, nie było nic innego, jakby ludowa czarniawa była martwą bryłą, nic nie widzącą, o niczem nie wiedzącą i nic nie czującą! Eh! tak nie było i być nie mogło. Wsłuchując się w przeszłość, słyszymy w niej dominujący po nad wszystkiem zgiełk szlachecki; lecz wpatrując się w nią, widzimy dziwny obraz — dziwny kontrastem, jaki zachodzi pomiędzy tłem a odgrywającym się dziejowym dramatem. Tło, barwy szarej, uderza posępnym smutkiem, a dramat jaskrawą wesołością, jakby to były dwa różne światy, pomimo że ogarnia je jedno spółistnienie. Jedni swawolą, drudzy pracują— a są to bracia rodzeni — i po tem tylko ich braterski stosunek poznać się daje, że rozpina się nad nimi jedno i to samo niebo, i rozlega się pod nimi jedna i ta sama ziemia — niebo polskie i ziemia polska.

Bracia swawolący odepchnęli braci pracujących i zapomnieli o nich. Odepchnięcie i zapomnienie nie mogły ujść bezkarnie, nie mogły nie obrócić się na szkodę ojczyzny, której nieprzyjaciele musieliby być chyba zbyt ograniczonymi, gdyby z nich nie korzystali. To też Moskwa całe działanie swoje oparła na różnicy pomiędzy szlachtą a chłopami w Polsce. Miłosierna!... brała stronę uciśnionych. Litowała się nad prawosławnem chłopstwem, któremu w perspektywie — w jakiejś chmurnej dali, niby Boga — pokazywała białego, prawosławnego cara, pełnego dobroci... dla prawosławnych i dzierzącego w ręku piorun kary... na nieprawosławnych panów — Lachów, a ci stanowili wiązanie rzeczypospolitej. Pokazywała więc im białego cara, otoczonego kłębami kadzideł i kąpiącego się w falach hymnów, jak Bóg. Kapłanami, co cześć dla niego pomiędzy ludem urabiali, byli emisarjusze, bardzo podobni do tych, których Moskwa szle obecnie pomiędzy ludy, zamieszkujące Bałkański półwysep. Brali oni na siebie różne postacie, wybierając szczególnie takie, pod któremi najłatwiejszym mógł być dla nich przystęp do ludu, i które służyć im mogły jako klucz do chłopskiego serca, jako siewnik nienawiści. Sianie powoli a wytrwale ziarn nienawiści braci do braci, szczepienie jej w sercach i duszach: oto, na czem w Polsce zależała istota moskiewskiej propagandy, gubiącej się w najodleglejszej przeszłości.

W miesiącu sierpniu 1767, ślepy żebrak, z lirą pod pachą, szedł traktem, prowadzącym na Jarmolińce, Gródek, Kotkowce, ku Husiatynowi. Miał na sobie ubiór, którego kolor i krój przypominały stan duchowny. Kolor był czarny, krój nakształt rasy, a raczej chałatu, sięgającego ziemi, niezwiązanego pasem, i dlatego w chodzie wydymającego się od wiatru. Z pod tego zwierzchniego okrycia przeglądała odzież brudna i zużyta, składająca się z ciemnych, drylichowych spodni i rozwartej na piersi grubej koszuli. Nogi ozute były w chodaki, biodra opasywał szeroki, skórzany pas, spięty z tyłu na trzy sprzączki i otwierający się z boku nakształt trzosa. Głowę przykrywała sukienna, z szeroką aksamitną obwódką czapka. Przez lewe ramię, na krajce, wisiała torba, przez prawe, na rzemyku, lira. Sękaty długi kij, w ręku niesiony, służył za przewodnika, obrońcę i podporę.

Nie zdawało się jednakże, ażeby podróżnik, traktem idący, podpory potrzebował. Szedł spiesznie i krokiem pewnym, a przytem był to człowiek wcale nie stary i wcale nie odrażającej powierzchowności. Długie w tył zaczesane włosy zaplecionemi były w kosę, która spływała po lewem ramieniu. Budowę ciała miał kształtną. Ogorzałą twarz znaczyły ślady naturalnej ospy, z powodu której rzadko zarastały mu włosy na brodzie i wąsach. Szpeciła go tylko ślepota. Patrzał białkami oczów i miał brwi mocno nasunięte a dolne powieki do góry podniesione. To jednakże nadawało jego twarzy, chudej i ogorzałej, wyraz ascetycznego natchnienia. Zdawało się, że ten człowiek, uwolniony od dystrakcyi, jaką sprawia patrzenie na ziemskie przedmioty, widział więcej i lepiej niż zwyczajni ludzie.

Szedł więc drogą — a z dalekich iść musiał stron, bo się kurzawa wbiła w jego odzież. Szedł spiesznie, jakby go prowadził pilny jaki interes — i nie oglądał się, nie rozpatrywał w otaczającej go naturze, bo pozbawionym był organu patrzenia. Jednakże stanął. Czy ze znużenia?

Na prawo od drogi rozlegał się szeroki łan pszenicy, w połowie zżęty. Z jednej strony stały szeregami półkopki, z drugiej falowały się złote kłosy, pochylane lekkim wiaterkiem, który począł dmuchać nad wieczorem. Pomiędzy przestrzenią zajętą przez półkopki, a przestrzenią pokrytą zbożem na pniu, ciągnęła się krzywa linia żeńców, dokończających dziennej roboty. Na linii tej rozlegał się gwar

rozmów i brzmiały pieśni. Snadź nuta pieśni uderzyła ślepego lirnika. Stanął i wsłuchał się i wyciągnął szyję ku żeńcom, jakby wciągał nozdrzami zapach dojrzałej pszenicy. I głową kiwał. Po chwili począł laską przed sobą grunt próbować, i zeszedłszy z drogi, wszedł na ściernisko. Stąpał powoli i ostrożnie, a nim krok postawił, pierwej laską próbował. Tak idąc krok za krokiem, zbliżał się do żeńców, którzy go z daleka zoczyli. Jedna z mołodyc obejrzała się i zawołała:

— Ślepy lirnik!..

Dwa te wyrazy, niby hasło, zabrzmiały na całej linii. Jeden żeniec drugiemu je podawał i każdy się obejrzał. Rozmowy i pieśni nagle ustały.

Po wszystkie czasy lud nasz czuł do pieśniarzy szczególny pociąg. Uważał ich jako istoty wyższe, jako wybrańców i pomazańców bożych, powołanych do podnoszenia ducha pieśnią. Toż nie dziw, że wobec wędrowca, niosącego lirę — pieśni znamię, umilkł, jakby samym widokiem pieśniarza zaczarowany.

Lirnik doszedł do półkopka, od którego już zaledwie kilkanaście kroków do linii żeńców pozostawało, zatrzymał się, popróbował laską dokoła siebie, natrafił na leżący snop i na tym snopie usiadł. Laskę położył obok na ziemi, zdjął lirę z ramienia i uwiesił ją na kolanach. To usadowienie się jego sprawiło żeńcom ogromną dystrakcyę. Nie zaprzestali wprawdzie roboty, lecz robota iść poczęła—jak to mówią—jakby z kamienia. Starsi udawali, że nie uważają i targali sierpami zboże, które z korzeniem wyrywali. Młodsi udawać nawet nie mogli. Parobcy i dziéwki, jakby siły nagle postradali. Sierpy im z rąk wypadały; coś ich ciągnęło w tył, od stojącego na pniu i pochylającego się ku nim zboża do półkopka, pod którym usiadł lirnik. Daremnie gospodarze hukali na nich:

— A nuż!... żywiej!...

Daremnie im przekładali:

— Wstyd będzie daremnie do miski zasiąść... Dzierzawca z chlebem, gorzałką i muzyką czeka... a wy zamiast żąć, na ślepca się oglądacie...

Wiedzieć należy, iż łan, na którym się żniwo odbywało, był pański, i że w owych czasach, do których się powieść nasza odnosi, pańszczyzny nie było. „Wówczas bywało — opowiadał chłop Taranucha zbieraczowi ludowych podań — dasz posesorowi dwa ruble czynszu, i odrobisz dwanaście dni szarwarku, groblę gacić lub co każą, i wozowe odbędziesz, przywieziesz sześć fur drzewa, i zapłacisz k o m e n n o h o pół kopy groszy, i dasz korzec żyta ta pół korca jęczmienia i owsa, taj siedzisz w domu. *A pańszczyzny nie było żadnej.* Tylko tłoką bywało zorzemy posesorowi łan i zżąwszy złożymy i zwieziemy— i tyle. Oto bywało przyjdzie do chaty: prosił pan na tłokę orać (albo tam żąć lub kosić). To z chaty biegnie dwoje, troje, i w jednym dniu zrobią tłoką co trzeba, i napiją się i najedzą u posesora; jeszcze i muzyka gra. Dobrze było! *)

Owóż na łanie, o którym mówimy, robocizna odbywała się tłoką, i dlatego szła ochoczo i wesoło, póki się nie pojawił lirnik. Szczęściem słońce miało się ku zachodowi i roboczy dzień się kończył, więc strata nie mogła być wielką. Temu co założył sobie użąć półtory kopy, brakowało snopów kilkanaście, temu zaś, co tylko się do kopy zobowiązał, brakowało coś mniej. Każdy z duszy, serca radby dotrzymać zobowiązania uczynionego własnemu sumieniu — i byłby dotrzymał, gdyby nie pokusa, która go odciągała. Nikt jednakże nie śmiał wyrwać się ze złym przykładem. Żeńce, chcąc nie chcąc, żęli, jakby za pańszczyznę. Aż jeden z odważniejszych odezwał się:

— Taka robota diabła warta...

Drugi dodał:

— Więcej szkody, jak pożytku...

Trzeci zauważył:

— Co prawda to prawda... toż to grzech, tak paskudzić...

Wszelako, mimo te uwagi, w gromadzie stu kilkudziesięciu ludzi nikt sierpa nie rzucił, ale za to każdy spojrzał na słońce i powiedział sobie w duchu:

— E! wszak już do wieczora niedaleko...

Ale w tejże chwili Feśce Ondrijowej zakrzyczało dziecko pod półkopkiem, co stał nieopodal od półkopka, pod którym siedział lirnik. Co to za ważna rzecz — krzyk dziecka!... Tyle dzieci na łan matki wyniosły, a każde w ciągu dnia po kilka razy kwiliło, i nikt na to uwagi nie zwracał. Dziecko jednakże Feśki wszystkich zajęło.

— Co jemu?... — pytały baby i mołodyce i prostowały się.

— Biedne ono... — litowały się dziéwki i od zboża ku półkopkom twarzami się zwracały.

Każdaby pobiegła na pomoc dziecku, gdyby nie wstyd, który przy robocie przytrzymywał.

— Feśka!... twoja dytyna!... — ozwały się nakoniec głosy.

Nie potrzeba było dwa razy wołania powtarzać. Feśka rzuciła żniwo i pospieszyła, a za nią jej teszcza, stara Sawycha, a za tą jej siostra, jeszcze nie wydana, Ołena, a za Ołeną chrzestna matka dziecka, a za tą cioteczny

*) Tohdi buło, dasy dwa rubli c z e n s z i posesorowi, ta odbudesz dwandciat' deń s z a r w a r k u, hrebliu'b to hatyt', a tam wże szczo zahadajut'; ta wozowe odbudesz, szist' wiz prywezesz kołod; ta zapłatysz k o m m e n n o h o piukopy hroszej, to o s y p u koreć żyta ta piukorcia owsa i jaczmeniu, ta'j sydysz doma. A p a ń s z c z y n y n i j a k o j n e b u ł o. Tilko tołokoju buło zorem łan posesorowi, ta wyżawszy składem i zwozym ta'j hodi. Otse, buło, pryjde do chaty: „prochaw pan na tołoku orat' (abo tam żat' czy kosyt')“. To z chaty dwa abo try bižyt' i w odyn deń zrobliat tołokoiu szczo treba, ta'j napiut'sia i najidiat'sia w posesora, szcze j muzyki hrajut'. Dobre było żyt'.“ — Z a p i s k i o J u ż n o j R u s i. P. Kulisz. t. I. str. 143

brat Feśki. Ten ostatni porwał za sobą całą linię żeńców. Póki szły baby, mołodyce i dziéwki, nie było w tem jeszcze nic nadzwyczajnie dziwnego; lecz posunięcie parobka zdziwiło i na mężczyzn oddziałało. Ruszyli parobcy a za parobkami gospodarze, i zeszli się kupą, z któréj sformowało się niechcący koło, lecz nie przy Feśczynem dziecku. O Feśce i jéj dziecku zapomniano. Żeńce z sierpami w ręku obstąpili lirnika i ścisnęli się gęstem kołem, w którem zapanowała cisza oczekiwania. Dziéwki pot z czół rękawami obcierały, a parobcy je w boki łokciami szturkali i psykali:

Głowa zadarta i powieki do góry wzniesione, były jakby oznaką, że szuka natchnienia. Tak upłynęło kilka chwil. Niecierpliwość rosła, ale nie wyrodziła się w wybuch — przeciwnie: coraz to w większą kupa pogrążała się ciszę, i kiedy przyszło do tego, że słyszeć się dał brzęk lecącego powietrzem komara, niby na wtór komarowi, brzęknęły pierwsze akordy liry.

Jednem cichem westchnieniem podniosły się piersi słuchaczy. Gospodarze, parobcy, baby, mołodyce i dziéwki wyciągnęli szyje i nastawili uszy, a niektórym usta mimowolnie się rozwarły. Spiewak kręcił jakiś czas korbą, wreszcie odchrząknął i uderzył w hymn nabożny o świętym Mikołaju cudotwórcy. Hymn ciągnął się długo. Spiewak strofami opowiadał o czynach świętego, którego prześladowali mocarze świata, aż Bog natchnął wielkiego imperatora, Konstantyna, który mu cześć oddał. A ten Konstantyn siedział na złotym tronie i mieszkał w bogatem mieście, które się nazywało Carhorod. I był to mocarz, któremu podobny znajdzie się chyba w białokamiennéj Moskwie, gdzie także mieszkają imperatory, carowie, jak Konstantyn wielcy, potężni, mądrzy i błahoczestywi, mający złote do



Po chwili lirnik włosy z nad czoła odgarnął... (str. 6).

— Cyt'... Tsss...

Więcej hałasu sprawiało „cyt“, aniżeli obcieranie potu; lecz parobcy stanowili stronę silniejszą, która się niecierpliwiła tem, że dziéwki się kręciły. W końcu uspokoiło się w kupie. Oczekiwanie natężyło się. Ale lirnik milczał. Upłynęło kilka chwil — on milczał. Niejeden ze słuchaczy miał ochotę nakazującym tonem powiedzieć mu: „hraj“ — a przynajmniej zapytać, dlaczego nie pospiesza z zadowolnieniem ogólnéj niecierpliwości; lecz w postawie, jaką lirnik przybrał, było coś, co nakazywało szacunek.

siedzenia trony, a wojsk tyle, co gwiazd na niebie, a pieniędzy i drogich kamieni tyle, co piasku w morzu.

Na tem urwał. Umilkło brzęczenie liry i ustał hymn, którego ostatnie zwłaszcza strofy brzmiały uroczyście i nastroiły słuchaczy do czci dla imperatorów carów. Carhorod, białokamienna Moskwa, złote trony, skarby, gwiazdy olśniewały ich wyobraźnię, karmioną marzeniami sielskiego życia. Legienda otworzyła dla niej strefy zaczarowane — coś nakształt kryształowego pałacu, w którym panował błahoczestywy car, a w asystencyi jego był święty. Hymn nie brzmiał—ale wieśniacy wciąż słuchali, bo brzmiał on dalej w ich dumach, przejętych na wskróś drzeniem zachwytu.

Po chwili lirnik włosy z nad czoła odgarnął i znów korbą pokręcił. Tym razem instrument jęknął, niby z bolu. I spiewak jęknął:

— Oj nad połem, nad szirokim, ta witry buszujut',
Hore ludiam, hore bidnim de Lachi panujut'.

I na tej kanwie uhaftował pieśń, pełną skarg na Lachów, dopuszczających się wespół z żydami, niesłychanych nadużyć nad ludem, będącym według praw boskich i według prawa natury, ludem carskim. Car z Carhorodu powierzył go carowi Moskwy; lecz podstępne Lachy przywoili sobie ziemię po Słucz, a z nią i błahoczestywy lud, i poczęli się nad nim znęcać. Zmawiają się z Tatarami i ludzi w jasyr zaprzedają; klucze od cerkwi oddali żydom, którzy Chrystusa zamęczyli. Błahoczestywy car płacze nad dolą biednego ludu i naradza się z bojarami, jaśniejącymi jak gwiazdy około jego tronu, i gotuje zemstę. Każe swoim wiernym wojskom, prowadzonym przez walecznych rycerzy, iść z wojną na Lachów. Lecz jeden z najrozumniejszych jego doradców powściągnął carski zapał. Radzi on przed rozpoczęciem wojny posłać napomnienie. Może Lachy poczują zgryzotę sumienia i sami się na błahoczestje nawrócą. A jeżeliby napomnienie nie poskutkowało, wówczas należy czekać, aż lud sam przyjdzie do białego cara z pokłonem i z prośbą o ratunek.

Żeńce z niemą zgrozą słuchali opowiadań o prześladowaniach. Spiewak przestał już spiewać, oni jeszcze słuchali. W gromadzie nieme panowało milczenie. Lirnik zabierał się do trzeciej pieśni, bo znów włosy z nad czoła odgarnął i odchrząknął, ale zanim rękę na rękojeść od korby spuścił, dało się słyszeć głośne:

— Pomahaj Bih!...

Słuchacze odwrócili się, jakby na komendę, i ujrzeli przed sobą dziada z siwą po pas brodą i odpowiedzieli mu chórem:

— Daj Boże zdorowla...

W powitaniu i odpowiedzi brzmiał ton zażyłości i uradowania. Żeńce pogarnęli się do przybysza z zapytaniami i wykrzyknikami:

— Zkąd pan Bóg prowadzi?... Tak długo was nie było!... Gdzież to pan Bóg wodził?...

— A czyż to mało na naszej ziemi odpustów ta prażników!... — odpowiedział dziad — a cóżby to był za odpust albo prażnik, gdyby na nim dziada z torbami i lirą nie było!...

— Ot — podchwycił jeden z gromady — u nas ani prażnik ani odpust... Żęliśmy sobie spokojnie na ławie i wzięło się aż dwóch lirników...

Przybysz był także lirnikiem, tylko cale różnym od tego, co na snopie siedział. Biło od niego coś swojskiego. Ubior jego był wieśniaczy — świta na grzbiecie, postoły na nogach, słomiany kapelusz na głowie— i wyraz twarzy wieśniaczy — oblicze otwarte, nos nieco orli, czoło wyniosłe, usta zasłonięte bujnemi wąsami, spływającemi na dół wraz z brodą. Koloru oczów widać nie było, bo powieki miał na wieki zwarte. Ślepota wszakże jego milszą była, aniżeli ślepota młodego lirnika, bo nie straszył białkami. Tak samo jak młody, miał z lewej strony zawieszoną lirę, z prawej torbę i w ręku łąskę, lecz nie szedł sam, prowadził go niedorostek lat dziesięciu, dwunastu.

— Kiedy się wzięło aż dwóch — odpowiedział na uczynioną przez jednego z wieśniaków uwagę — to i panu Bogu dziękować... Olchowiecka gromada nie zubożeje przez to, że dwóm dziadom da nocleg...

— Ta nie dwóm dziadom, ale dwóm lirnikom... — poprawił jeden z gromady — Wy, Ołekso, dziad sprawiedliwy, a ten drugi, nie...

— Ehe!... — pochwycił starzec wesoło. — To chybaż on nam dziadom chleb chce odebrać... Oj!... gorzki to chleb... A gdzie ten lirnik?... prowadź, chłopcze...

Wieśniacy się rozstąpili; starzec zrobił kilka kroków i znalazł się wobec młodego lirnika, który się z miejsca nie ruszał.

— Pomahaj Bih...

— Daj Boże zdorowla... — odparł z westchnieniem zagabnięty.

— Ja tutejszy, z pod Lanckorony, Ołeksa Szpyl, idę z pod Szarogrodu z prażnika. A wy, jeżeli wola zapytać, z daleka?...

— Idę ze świętych miejsc, od Kijowskiej Ławry, na imię mi Tanas Lasiński...

— Ze szlachty, z przeproszeniem?...

— Z duchownego stanu...

— Ehe... zawsze to nie z mużyków, jak ten mówi... Powiadają „znać pana po cholewach“; a ja po cholewach nie poznam, bom ślepy, ale po głosie... Od pierwszego wyrazu poznałem, że wy z waszecia...

I zwracając mowę do wieśniaków, zawołał:

— Ale, hej!... my tu bałakamy, a boży wieczór tymczasem zapadł... Czuję go po chłodzie i po zapachu... Pora gospodarzom do domów a nam wędrowcom w gościnę...

— Na nas dzierzawca z częstunkiem czeka — wsunęła jedna z mołodyc.

— Chybaż to tłoka?... — zapytał dziad.

— Tażeż tłoka... — odezwało się kilka głosów.

— Ehe! także i mówcie... toć wam na tłoce dziad z lirą potrzebny... Trafiła się wam szczęśliwa przygoda, kiedy się zeszło na raz dwóch lirników... Chyba że oni — tu brwiami ukazał w stronę, gdzie Tanas Lasiński siedział — nie zechcą na tłoce zaspiewać...

— Czemu nie?... — zapytało parę dziéwek.

— Czemu?...—odparł dziad—ja nie wiem... zapytajcie ich...

Lecz wieśniacy takiem dla młodego lirnika przejęci byli uszanowaniem, że nie śmieli mu zadać pytania. Dziéwki oglądały się na mołodyce, mołodyce na baby, baby na gospodarzy, gospodarze zaś udali że o niczem nie wiedzą, a parobcy w nosach poczęli dłubać. W tłumie zrobił się ruch, spowodowany tem, że ktoś półgłosem powiedział, iż słońce zachodzi. Powiedzenie to stało się hasłem. Ciżba się rozsypała, wieśniacy i wieśniaczki rozeszli się po polu, ten po bliźniaki, ta po plecioną z lipowego łyka kołyskę, w której dziécię w cieniu bodaków spało, owa po torbę, w której jadło było, i powoli z pola sciągać się poczęli kupkami na drogę do wsi prowadzącą. Na polu pozostali samotrzeć młody lirnik, dziad i chłopczyna prowodyr. Ten ostatni pociągnął dziada za połę.

— Nu?... — mruknął pociągnięty.

— Ludzie idą... chodźmy i my z nimi...—rzekł chłopiec.

— Ta nie lękaj się, nie zostaniemy... Tylko że Bóg nam zesłał towarzysza, to pójdziemy razem...

— Oni, widać, czekają na swego prowodyra... — odrzekł chłopczyna — bo oni, choć młodzi, ale tak jak i wy, dziadusiu, nie widzą...

— Gdzież się wasz prowodyr zapodział?... — zapytał dziad młodego lirnika.

Zapytany przymrużył powieki i głową do koła poprowadził, jakby się oglądał, następnie westchnął i odpowiedział:

— Ja idę światem sam...

— Sam?... — zapytał dziad tonem zdziwienia.

— Prowadzi mnie anioł boży... Mirem w świętych grobach, w kijowskich pieczarach oczy sobie pomazałem, i choć nie widzę, ale widzę... Matka boska powiedziała mi „idź,“ i ja idę...

— I ja był w pieczarach—podchwycił dziad—I ja mirem sobie oczy pomazywał: ale widać, wy macie u Boga łaskę...

— Powiedziała „idź“ i ja idę... — powtórzył lirnik.

— Nie dziw... wy z duchownego stanu... — rzekł dziad z uszanowaniem — tož zróbcie mi tę łaskę i chodźcie ze mną razem do Olchowca...

— Ale ja do dzierzawcy nie pójdę, jeżeli to Lach.

— Ta że Lach, pan Dmytro Kociuba...

— Kociuba?... i Lach?... — zapytał młody lirnik tonem zdziwienia.

— Ono to tak... — odparł dziad, nie rozumiejąc powodu zapytania.

— A dobrodziej w Olchowcu, jak się nazywa?

— Nazywają ich... oś... zapomniałem... Ehe!... Dobrzański...

— Unita?...

— Ba nie... błahoczynny.

— To chyba i gromada w błahoczynju pozostaje?

— I gromada...

— Boże, sława tobie!...— zawołał Tanas Lasiński wstając ze snopa, biorąc laskę z ziemi i zawieszając lirę przez ramię — oddychałem powietrzem nieprawdą zarażonem, tož przynajmniej w Olchowcu odetchnę wonią prawdziwej wiary... Chodźmy... Ale ja nie pójdę do dzierzawcy... Zaprowadźcie mnie do dobrodzieja... Ja mam do nich hramotę z pieczęciami.

— Kiedy taka wasza wola, to chodźmy... — rzekł stary lirnik — dobrodziej będzie wam rad...

— A z kimże on trzyma?... — podchwycił młody.

— Jakto, z kim trzyma?... — zapytał stary nie rozumiejąc o co chodzi.

— Czy się wdaje z Lachami?

— Ot, żeby prawdę powiedzieć, nie wiem... Ale, jeżeli się i wdaje, to tak jak my tu wszyscy... To człowiek spokojny, stary...

— Ma dzieci?...

— Miał syna, ale ten ich odumarł i pozostawił im wnuka i wnuczki, których oni przy sobie hołubią... Wnuk się uczy w szkołach i zapewne zostanie popem w olchowieckiej cerkwi... Już czyta na książce aż miło, jakby we młynie tarkociało, a spiewa na kłyrosie, aż się cerkiew trzęsie...

Wyszli lirnicy na drogę i posuwając się powoli ku Olchowcowi, rozmawiali. Młody rozpytywał, stary rozpowiadał i rozpowiadając, wtajemniczał przypadkowego towarzysza swego w miejscowe stosunki.

Słońce coraz to niżej nad horyzont się spuszczało i malowało krajobraz pozłotą, od której mocno świeciły blaszane krzyże olchowieckiej cerkwi. W powietrzu nosiły się wonie i brzmiał cicho wieczorny hymn przyrody, w którym chór trzymały komary. Młyn klekotał, bydło porykiwało, psy naszczekiwały. Kiedy wędrowce nasi wchodzili w kołowrót, w głębi wsi odezwały się skrzypka i basetla.

— Ot i tłoka — rzekł dziad — wypada pójść... pójdźcie, Tanasie...

— Ba nie... — odparł młody lirnik.

Stanął i obejrzał się, jakby mógł widzieć. Po chwili dodał:

— Jeżeli wasza łaska, dziadu, podprowadźcie mnie do dobrodzieja...

— Ta czemu by nie...

— Bóg wam to wynagrodzi, że drogę pokażecie ślepcowi z dalekich stron.

— Prowadź Ilku do cerkwi... — rzekł dziad do chłopca prowodyra.

I poszli ślepi jeden za drugim. (d. c. n.)

DO ŻEGOTY DOMEJKI.

REKTORA AKADEMII CHILIJSKIEJ. *)



Żegoto! stary druhu geologu!
Józef i Stefan i Adam i mili
Insi... u ciebie bodaj goszczą w Chili,
U tak wiernego i Polsce i Bogu.
Duch mój ustawnie antypody wierci....
Tęsknię ku drogim zbiegom — jeniec śmierci.

Na wodach swoich Żegoto, my wbieli
Pośród pokoleń nowych, jak łabędzie
Wymijamy się za prądem w rozpędzie
Ku innym, dalszym, co nas wyminęli...
I lekko, rzesko szybujem wśród fali,
Bośmy na Bożą wolę raz się zdali.

Znane nam drogi — choć dola nieznana...
Z ciasnych jeziorzysk wpłyniemy do morza,
W nieskończoności bezbrzeżnej przestworza...
Bliżej, wciąż bliżej a bliżej od Pana,
Radziby przy Nim wszyscy po prawicy
Zasiąść już jako godów uczestnicy.

Miłowaliśmy i wierzyli w pełni,
I spodziewali się łask przez wiek cały,
I pobrzmiewali ku Panu w chorały...
Jeńcy my śmierci, ale nieśmiertelni!
Odnajdziemy się przy Odkupicielu,
I odnajdziemy swoich wielu, wielu.

Miłość i boleść — kosmiczne zarodki —
Wyklują niebu chorowód skrzydlaty
Szczęśliwców... Z rajskiej Adamowej daty...
Byt nam bezgrzeszny, pieśniany, przesłodki,
Bo pojednawstwem tam Chrystusa błogiem,
W objęciu JEGO prześnim wieczność z Bogiem.

Żegoto! wciąż nam zielono się marzy...
Na dwóch półkulach rozbitki po klęsce,
Spiewamy w swoje — jakby już zwycięzce...
Zaprawdę, nigdy my nie będziem starzy,
Dopokąd pijem z onej żywej wody
Odmładzającej ludzie i narody.

W Maju 1868.

Bohdan Zaleski.

KOSMOS.



Wszego ptactwa wedle rodzaju,
Białek i żółtek zamknione w jaju,
Tają w skorupce mdłej Bożą wolę,
Dziwy i lotu i krasy piórek.
Przeróżny głosów i głosków chórek,
Który ma rozbrzmieć na las i pole.

Miłość i boleść w kosmicznem jaju,
Białkiem i żółtkiem wygnańców raju,
Tają zagadkę ich ziemskiej doli

W bezmiarach cudów i łaski Boga...
To koniec końców dola im błoga,
Skoro odzyskać ów raj pozwoli.

Miłość i boleść zamknione w słowie,
Wieszcz po swojemu pieśnią je zowie.
Toż w górę serca! i nieustannie
Spiewajmy bracia ku Panu w bieli!
Bijmy pokłony! aż przeanieli...
I zawtórujem chórem w „Hozannie."

W Maju 1868.

Bohdan Zaleski,

---

*) Rektorstwo w Santjago exfilareta nasz wileński otrzymał przez głosowanie — z chlubą i dla siebie i dla narodu — bo przekreskował spółubiegających się z nim o tę godność ministra i kilku dostojników rzeczypospolitej. Domejko w antypodach tam — posiada powszechną miłość i poważanie u ludzi, jako prawowierny Polak i rozgłośnej sławy uczony. Do autora niniejszego wiersza, pisuje on rzewne listy, pełne namaszczenia religijno-patryotycznego.

CHOROWÓD POLSKI.

DZIEWICA.



Pieśni — o, pieśni!... serce mi rośnie;
Tak niewoląco, mile, miłośnie
Wypełniasz jemu komórki;
Zda się że w niebo na falach niesie...
I kochać chce się... i płakać chce się...
I modlić chce się z nad chmurki.

MŁODZIENIEC.

Pieśni — o, pieśni!... serce mi skacze;
Pląsy na kresach konne, kozacze,
Śnią się na jawie dzień po dniu,
Tętnią mi w słuchu zawżdy i wszędzie...
Hej nowe imię Polsce przybędzie!
Przeżegnaj wieszczy przechodniu!

STARZEC.

Pieśni — o, pieśni!... serce już mdleje;
A bujne z rańszych lat mych nadzieje
I w popielisku nie gasną...
Dźwięki prorockie!... zrywam się ku wam,
Osobną dolę Polski przeczuwam,
Dolę przesławną... przejasną!

WIESZCZ.

Pieśni — serc tylu polskich uciecho!
Widzi Bóg w niebie, tyś żywe echo
Głosu minionych stuleci...
Będzieszże dla nas echem cmentarnem?
Lub namogilnym kolczastym tarnem,
Co biało corok się kwieci?

Prorocka pieśni! ojczysty Zniczu!
O, po Bojanie i Mickiewiczu
Na wieki w piersiach rozgorej!
Dopotąd Polski, dopokąd ciebie!
Śmierć zwyciężyłaś raz po pogrzebie,
I nieukusim już wtorej.

W maju 1868.

Bohdan Zaleski.

NOTATKI WĘDROWCA Z MUSU.

WIEŻA W MONTHLERI. *) — PODANIE Z XIII. WIEKU.

„Miłości to jest przyrodzenie, aby rozdziałów nie dopuszczała, a związki jednego z drugim utwierdzała.“
Skarga. Kazanie na dzień śś. Szymona i Judy.—Wtóra część — o mandacie miłości wspólnej.

Miłości nie wygrozisz – miłość bojaźnią nie stoi.
Cnapius — Adagia polonica.

W początkach XIII wieku żył w poważnym i warownym zamku Monthleri hrabia Jan, który poślubił wbrew chęciom swojego ojca piękną Matyldę, pannę wysokiego rodu, ale bez majątku. Dla otrzymania swojej ukochanej zmuszony był zezwolić na warunki, nakazane mu przez ojca, warunki srogie, przenoszące na dzieci płci męzkiej brata jego Teobalda, pana z Chaumont[1], zamek Monthleri ze wszystkiemi zależnościami, gdyby on, hrabia Jan, nie zostawił po sobie syna.

Teobald, wróciwszy z ziemi świętej, gdzie długo zostawał jeńcem niewiernych, nie znalazł już swojej małżonki, umarła w nieobecności jego; ale przynajmniej do ojcowskiego serca mógł przycisnąć młodego i pięknego Rudolfa, powierzonego staraniom wiernego burgrabiego zamku. Pan z Chaumont, na kilka miesięcy przed małżeństwem brata swego z Matyldą, wszedł sam w powtórne śluby z bogatą i szlachetnej krwi damą, wdową po pewnym zamożnym panu, któremu— jak było podejrzenie— śmierć przyspieszyła, i matką córeczki tychże prawie lat co Rudolf. Trudno spotkać coś sprzeczniejszego nad charakter tych dwojga dziatek, przeznaczonych żyć razem. Aloiza dumna, chytra, mściwa, niezdolna przywiązać się do nikogo, już objawiała wcześnie najwydatniejsze rysy

*) Monthleri, mała mieścina o sześć lieues od Paryża, na drodze do Orleanu, w dawnej prowincyi Ile de France, w dzisiejszym departamencie Seine et Oise. — Stojąca dotąd wieża z kilku złamami murów, na malowniczym wzgórku, pozostała z zamku, zbudowanego w dawnych wiekach przez możną a wygasłą rodzinę Month'leri.

[1]) Chaumont sur Loire, w departamencie Loir et Cher, miasteczko ze starym zamkiem nad Loarą. Stanowiło dawniej część państwa możnego rodu d'Amboise. W zamku przesiadywała często Katarzyna z Medyceuszów.

charakteru swojej matki. Rudolf przeciwnie, łagodny acz odważny, prosty w swoich upodobaniach, entuzjasta w swoich uczuciach, kochał wszystkich, którzy go otaczali, i szukał wzajemnej miłości. Jedna tylko wada ćmiła blask tych słodkich przymiotów, to jest niesłychana słabość, wstydliwa bojaźń, zmuszająca go drzéć przed obliczem macochy i niedozwalająca rozwinąć się wszystkim jego zdolnościom. Pani z Chaumont znała to dobrze, że długa niewola męża nadwątliła mu zdrowie i niedługi obiecywała żywot; marzyła tedy sobie związek Rudolfa z Aloizą, nie lękając się bynajmniej takiego zięcia; przeczuwała, że ona i jej córka snadnie wezmą nad nim górę, i zapewniała sobie przez to małżeństwo bogactwa i zaszczyty, przywiązane do państwa Monthleri.

Hrabia Jan straciwszy nadzieję doczekania się syna, zażądał od brata, aby mu przysłał swego Rudolfa, żywiąc tajemnie zamiar połączenia go kiedyś ze swoją Alisą. Pomimo najsilniejszego oporu ze strony pani z Chaumont, odgadującej zamiary hrabiego Jana, Rudolf wyprawiony został do stryja. Przybywszy do Monthleri, odżył młodzieniec, stryj przycisnął go z czułością do serca, stryjenka widząc go równie urodziwym jak skromnym, z pobożną łzą błogosławiła jego przybyciu, a piękna kuzynka rzuciła mu się na szyję i ucałowała stokrotnie. Alisa została wkrótce wierną jego towarzyszką i że tak powiem, uzupełnieniem jego życia. W istocie słodka marzycielka, wylana dla innych podobnie jak Rudolf, podnosiła jeszcze te przymioty niezwykłą energią charakteru, zdobiła ją nadto niewyczerpana i niehałaśliwa wesołość, a serce jej obejmowało w sobie taki zapas szczęścia, iż nigdy go, jak się zdawało, zużyć nie będzie mogła. Ta niezmierna jej łatwość łudzenia się nadzieją nie pochodziła ani z lekkomyślności, ani z nieczułości, ale raczej była skutkiem szczęśliwej organizacyi i koniecznej potrzeby znajdowania szczęsnem wszystkiego, co ją tylko otaczało. Słodka nawykłość oglądania, jak wszystkie jej życzenia spełniane bywały, nie mało wzmocniły jej zaufanie w życiu. Prędko też poznała słabość Rudolfa; ale daremnie usiłowała wyleczyć jego umysł z lękliwości względem macochy.

Pani z Chaumont, ze swojej strony, coraz więcej lękała się wpływu Alisy na Rudolfa, i póty niepokoiła swego dogorywującego małżonka, póki tenże nie wymógł na bracie, aby Rudolfa na dwór francuzki wyprawił w celu otworzenia mu rycerskiego zawodu. Jan otrzymał nawzajem pozwolenie odbycia zaręczyn Rudolfa z Alisą przed ich rozłączeniem; a na drugi dzień po tym uroczystym obrzędzie, sam wyrwał smutnego synowca z objęcia żony i córki; bo troskliwość jego nie dozwalała, ażeby ktokolwiek inny nie on przedstawił młodzieńca u dworu.

Biedne kobiety przytłoczone zostały troską rozłączenia; ale Alisa uczuła wcześnie obowiązek pocieszania matki. Tłumiąc w sobie boleść, wróciła do swojej przędzy i siedząc u nóg matki, rozrywając ją ciągle jużto jaką wesołą balladą, już też starą powiastką, przesuwała zręcznie pomiędzy paluszkami lekką i delikatną nić, z której utkać miano jej ślubną zasłonę.

Zaledwie kilka dni upłynęło od wyjazdu hrabiego Jana, goniec wyprawiony przez panią z Chaumont przyniósł wiadomość śmierci Teobalda, z prośbą podjęcia stroskanej wdowy w Monthleri. Przygotowano natychmiast dla niej najpiękniejsze komnaty w zamku i przyjęto ją, równie jak jej córkę, z całą czułością należną nieszczęściu.

Ale Matylda wkrótce sama dotkniętą została najdokliwszym dla niej ciosem. Hrabia Jan nie wracał. Wierny sługa wyprawiony do Paryża, wykonawszy zlecenie pomimo licznych przeszkód, jakie podówczas stawiały zbrojne kupy, znane pod nazwiskiem *Compagnies franches*, grasujące w leśnych okolicach Monthleri, oznajmił swojej pani, że hrabia od dni kilkunastu wybrał się napowrót do domu. Matylda w najżywszej rozpaczy wyprawiła na wszystkie strony uzbrojonych ludzi, przejrzano okoliczne lasy, aż nakoniec jednego dnia przyniesiono do zamku ciało hrabiego Jana, okaleczone aż do niepoznania. Smutna wdowa, przyjąwszy skrwawionego trupa, nie wylała ani jednej łzy, nie wyrzekła jednego słowa; ale w ośm dni potem spuszczono ją do grobu, w którym mąż jej spoczywał.

Pani z Chaumont, upojona radością z wypadków, które sama może przygotowała, nie tracąc chwili objęła w posiadanie zamek Monthleri, a to w imieniu pasierba swego Rudolfa, ogłaszając się zarazem opiekunką Alisy. Odprawiła wszystkich starych domowników, a osierocona Alisa zamkniętą została w wieży, oddalonej znacznie od głównych zabudowań. Mamka Alisy, stara Berta, po długich prośbach i płaczach otrzymała ledwie pozwolenie służenia ukochanej swojej panience i pocieszania jej w niezasłużonem więzieniu.

W pierwszych chwilach Alisa uległa pod ciężarem tylu nieszczęść, podobnie jak słaba trzcina ugina się pod natarczywością burzy; ale też podobnie jak ona, dziewczę podniosło się wkrótce, i lubo łzy jej nie osychały w ciągłem wspomnieniu zamordowanego ojca i matki umarłej z żalu, lubo modlitwa leżała ciągle na jej ustach, myśl o Rudolfie, a z nią i nadzieja oglądania go kiedyś, wciskały się powoli do jej serca i żale tłumiły. Przędząc z większą niż kiedykolwiek gorliwością, zatrzymywała łzę, ściekającą zwolna po wychudzonych licach Berty, i mówiła jej ze zwykłą słodyczą: „Nie płacz mamko — nie płacz — bądź pewna, że nasz Rudolf wróci nas uwolnić, jak tylko len ten wyprzędę.“

Nigdy nie wychodziła z ciemnego swego więzienia; zaledwie przez wązki otwór strzelnicy zajrzeć mogła mały zakącik nieba. A przecie, jeźli czasami słaby i płochliwy promyczek słońca wbiegł na chwilę rozweselić zgrzybiałe

mury, z szybkością błyskawicy popieścić się z pięknemi, jasnemi włosami dziewczęcia i natychmiast zniknąć — serce Alisy biło swobodnie; ukazywała ów promyczek Bercie i z dziecinną wykrzykiwała radością: „Rudolf powróci — odda nam w całości to piękne słońce, którego promyk nas nawiedził; nie płacz mamko — nie płacz — bądź cierpliwą, póki lnu tego nie wyprzędę.“

Pewnego dnia, pani z Chaumont weszła do więzienia; towarzyszył jej młody i piękny paź, którego przedstawiła Alisie jako syna hrabiego Jana z nieprawego łoża, i zostawiła ich razem. Alisa i Berta nie dowierzały zrazu tej powieści, ale uroczyste zapewnienia młodzieńca, szczegóły jakie opowiadał o swojej matce, córce biednego wazala i kochance hrabiego, nim poznał Matyldę; sposób w jaki został wychowany przez jednego z zaufanych przyjaciół hrabiego; niepodobieństwo nakoniec naznaczenia przyczyny tak dziwnemu oszukaństwu, wszystko to posłużyło do przekonania uwięzionych biedaczek. Paź przydał, że dowiedziawszy się o smutnym losie Alisy, wymógł podstępnie na pani z Chaumont pozwolenie zbliżenia się do siostry; obiecał, że będzie śledził powrotu Rudolfa i że wezwie jego pomocy; a tymczasem przyrzekł czuwać nad niemi i słodzić ich niewolę. Otrzymał w istocie pozwolenie przechadzania się co rana z Alisą po rozległej łące, oddzielającej więzienie od wzgórza, na którem panowała kształtna i wyniosła główna wieża Monthleri. Alisa, wsparta na ramieniu tego, którego bratem swoim mieniła, powierzała mu tajemnice swojego serca i opowiadała, jak każdego wieczora, powierzywszy się opiece N. Panny, słyszała głos Rudolfa, obiecujący jej prędki powrót.

Jednego poranku, kiedy słońce pogodniejsze i jaśniejsze, niż od kilku dni było, żywszą niż kiedykolwiek radością i nadzieją przejmowało jej serce, zaczęła biegać i igrać z paziem, jak w dniach wesołego dzieciństwa. Wkrótce utrudzona, siadłszy przy nim na murawie, skłoniła głowę na jego kolana i powoli usnęła, a on tymczasem rozdzielał z lekka złotawe sploty długich jej włosów i łza litości mimowolnie z oka jego spadła. Nagle nastraszliwy krzyk i imię Alisy, rzucone zarazem w powietrze, przeszyły serce dziewczęcia jakoby rozpalonem żelazem. Zrywa się z rozpaczą, wlepia chciwe spojrzenia we wszystkie okna zamku, i wołając nieustannie: Rudolf! mój Rudolf! — wydziera się napróżno z rąk pazia, który ją ciągnął za sobą. Ponure drzwi więzienia otworzyły się i zamknęły za nią; chytry paź zniknął na zawsze, a z nim i całe szczęście Alisy; bo słaby Rudolf snadnie wpadł w widoczne sidła, zastawione przez macochę. Z tem wszystkiem Alisa pewna, że Rudolf jest blisko niej, pewna, że ją niebawem uwolni i z nią się połączy, pospieszała coprędzej z ukończeniem pracy, którą sobie naznaczyła, a z którą skończyć się miały zarazem wszystkie jej cierpienia.

Upłynęło tak kilka długich tygodni; biedna Alisa nie przestawała prząść, oczekiwać i nadstawiać ucha; ale siły dziewczęcia upadały w tej straszliwej walce przyrody, usposobionej do szczęścia, z upłakaną rzeczywistością. Rozum odbiegał ją w tych ciągłych przejściach z nadziei do rozpaczy, w tej pożerającej gorączce oczekiwania bez końca.

Byłoto w końcu listopada, deszcz lał strumieniem, a wicher przelatując z przenikliwym świstem po wązkich kurytarzach, wypierał gwałtownie drzwi więzienia. Alisa przestraszona burzą, drżąca od zimna w murach, których nie ogrzało nigdy wesołe ognisko, opuściła stężałą i przeziębłą rękę, dotrzymując zaledwie wrzeciona. Stara Berta spoglądała z boleścią na tę twarz wybladłą, na przygasłe oczy i rozrzucone włosy, obejmujące jej kibić jakoby całunem. Niespodzianie bladość Alisy ustąpiła przed żywym rumieńcem, oko jej niezwykłym zajaśniało blaskiem, pochwyciła raźno za wrzeciono, i nieruchoma liczy po gwałtownych uderzeniach serca każde stąpienie szybkich kroków, wbiegających na schody. Otwierają się drzwi... — „Rudolf!“ — krzyknęła. — Ale nie byłto Rudolf, byłto zbrojny jakiś człowiek, pochwycił ją gwałtownie i pociągnął za sobą. Daremnie Berta zatrzymać go pragnie; zdąża o ile starość pozwala, za swoją biedną panienką, dławiąc się łkaniem. Przebywając szybko nieszczęsną łąkę, na której los jej się rozstrzygnął, Alisa zaledwie może odetchnąć. Żelazna ręka przewodnika ciągnie ją dalej; przeszli fosy i most zwodzony i dostali się do furtki, którą wybiegała nieraz za dobrych czasów z wesołemi towarzyszkami swojemi. Teraz już nie uciecha, ale boleść wyczerpała jej siły, wzrok jej obłąkał się, a sercem miota z kolei jużto niepewna nadzieja, podobna do ostatnich połysków dnia gasnącego, już znowu zimne przeczucie losu, który ją czekał. W takimto stanie dziewczę wróciło do zamku swoich przodków. Krążąc bezwładnie w ciasnem przejściu, okalającem wielką honorową salę, znalazła się przy małych schodkach, przeprowadzonych w szerokości muru aż do małego oratoryum, w którem jej matka modliła się zwykle, a w którem i ona również nauczyła się wznosić ducha ku niebu. Idzie po schodkach, wchodzi i spostrzega długie wewnętrzne okno, otwarte na wielką salę. W tem oknie siadywały dawniej Szatelenki, żeby mieć na oku służbę zamkową, alboli też patrzeć na zebrania rycerstwa, do których przypuszczane nie były. Bez rozwagi, bez celu, popchnięta jedynie ostatnią i instynktowną nadzieją, postępuje naprzód i staje w otworze okna, zimna i blada jak widmo. Oczy jej znużone nagłem przejściem z ciemności do rzęsistego światła, błądzą przygodnie po licznem zgromadzeniu, rojącem się pod jej stopami; ale wkrótce zwrócone konwulsyjnym ruchem, utkwiły w pyszny baldachim, pod którym siedziała jej chytra stryjenka, połyskująca drogiemi kamieniami, a przy niej Aloiza

jeszcze dumniejsza, niż dawniej, pod swoją ślubną zasłoną, i smutny Rudolf, równie blady, równie martwy, jak ofiara jego łatwowierności i słabości. W chwili kiedy Szatelenka przedstawia swoją córkę zebranym gościom jako małżonkę Rudolfa, daje się słyszeć krzyk rozdzierający, krzyk serca tracącego całą nadzieję i przeczuwającego w swojej katowni, że wkrótce bić przestanie. Ten krzyk, acz tłumiony wrzawą obecnych, przedarł się do uszu Rudolfa. Podnosi głowę przejęty dreszczem, i staje głazem na widok dziewicy, osłonionej rozpuszczonym włosem, wyciągającej ręce ku niemu i pochylonej na krawędzi górnego okna, gdzie jej nic nie zabezpiecza, zkąd najmniejsze poruszenie strącić ją może. Rudolf jęk żałośny wydaje; zrywa się, żeby biedz do niej i wstrzymać, drząc żeby nie przybył za poźno, i tymczasem zaklinając, żeby się nazad zwróciła; ale ona uśmiechając się smutnie, ukazuje mu wrzeciono, którego nie wypuściła z ręki, i zaledwie dosłyszanym głosem przemawia: „Patrz, mój Rudolfie, patrz — przędza moja wysnuta, próżne wrzeciono; służebnice zajęte utkaniem ślubnej mojej zasłony — czemużeś nie zaczekał na mnie? Ale ja jestem twoją narzeczoną, ty wiesz mój Rudolfie — musisz przyjąć moją rękę, żebyś ją z twoją połączył... Otóż jestem— czekaj na mnie— otóż jestem, Rudolfie— idę do ciebie!...“

Kołysząc się potem zwolna i z wdziękiem, jak młody łabędź próbujący po raz pierwszy wzlecić ze swojej rodzimej skały, biedna Alisa, w złudzeniu tej ostatniej jeszcze nadziei, rzuca się i pada rozbita, konając przy nogach Rudolfa i pani z Chaumont.

Nieszczęsny młodzieniec, przywołany do życia, znalazł na opłakiwanie zmarłej kochanki energię, której znaleść nie mógł na jej obronę, wygnał z zamku macochę i jej córkę, wzbronił wszystkim przystępu do wielkiej sali, zamknął na zawsze drzwiczki do małych schodów, i całe dnie spędzał na wpatrywaniu się w okno, w którem po raz ostatni ujrzał Alisę. Tknięta jego żalem, wracała ona — mówią — na to samo miejsce, osłoniona jasnym swoim włosem, trzymając w jednem ręku kądziel, a w drugiem wrzeciono. Kiedy niekiedy przestawała prząść i spoglądała na swojego narzeczonego, uśmiechając się do niego, jak w dniu swojej śmierci, i wskazując na niebo, ostatnią dla nich nadzieję.

Jednego poranku Rudolf nie otworzył drzwi od wielkiej sali; oczekiwano, wołano, zaniepokojeni słudzy wyłamali drzwi: Rudolf klęczał naprzeciw okna — chciano go podnieść — już nie żył!

Gmin utrzymnje dotąd, że często jeszcze, mianowicie przy końcu listopada, ujrzeć można na tem miejscu biedną Alisę. Więzienie jej znikło, zajął jego miejsce kwiatowy ogródek, a z ogromnego zamku Monthleri uchowały się tylko: wielka sala, małe schodki w murze i okno jasnowłosej prządki.

Ksawery Godebski.

WŁODZIMIERZ DZIEDUSZYCKI.

Jestto znamieniem naszego ubóstwa umysłowego, że oświata w ogóle, a zwłaszcza nauki, sztuki, pismiennictwo potrzebują jeszcze mecenasów. U narodów, które się cieszą bytem samoistnym, które potrzebują tylko chcieć, aby im się otwierały wszelkie źródła pomyślności tak umysłowej jak i fizycznej, niejest potrzebna do tego czarodziejska rószczka protekcyi, aby się zjawić mogło jakie dzieło głębokiej nauki, wielkiej wartości artystycznej lub t. p.

Oświecona i zamożna powszechność sama jest najszczodrobliwszym mecenasem i protektorem nauk, sztuki i piśmiennictwa. Ze zdumieniem czytamy o wydaniach dzieł we francuzkim, angielskim i innych językach, których jeden egzemplarz nieraz więcej kosztuje, niż u nas cały nakład książki. A jednak tam te dzieła niepotrzebują mecenasów, aby wychodziły. Wydają je księgarze lub inni ludzie, którzy z tego wydawnictwa spekulacyę robią. U nas najznakomitsze dzieła treści poważnej są albo skazane pozostawać w tekach autorów, albo jeżeli znajdą mecenasa, który na ich wydanie łoży, leżą na pułkach u księgarza, który nawet za zbyteczną uznaje wystawiać i ogłaszać dzieło poważniejszej treści, bo ono odstręcza kupujących. Podobnie ma się rzecz z dziełami sztuki. Artysta może długo czekać, nim się na pracę jego, szczególnie większych rozmiarów i większej wartości, znajdzie kupiec, a jeżeli się znajdzie, to najczęściej cudzoziemiec.

Wśród takich stosunków są mężowie zamożni, którzy swoich zasobów część poświęcają przedsięwzięciom literackim lub naukowym tem godniejszymi, aby ich zapisać w pamięci narodu, ileże niewielu ich mamy, powtóre że mecenasostwo w naszych stosunkach jest większą niż gdzie indziej zasługą. Od czasu rozbioru Polski zapisujemy w jej dziejach szereg mężów, którzy się oddawali nietylko sami pracy naukowej lub artystycznej, ale wspierali wzrost nauk i sztuk ofiarami. Mało zapewne jest takich, którzyby mogli stanąć do jednego szeregu ze świetnemi imionami Załuskich, Czackich, Ossolińskich, Raczyńskich, Działyńskich; ale godnem jest uznania wszelkie wstępowanie wślad tych mężów, a na tym śladzie jest Włodzimierz Dzieduszycki.

Włodzimierz odziedziczył po ojcu Józefie razem z majątkiem wielkich rozmiarów i to poczucie, że część tych zasobów, któremi go Opatrzność obdarzyła, powinien poświęcić na wspieranie nauk i sztuk. Ojciec Włodzimierza zbierał bibliotekę, zaopatrywał się w inne zbiory naukowe (narzędzi fizycznych i obrazów), głównie poświęcając pierwszy pożytek na wychowanie syna. Także godzi się szczególnie na to zwrócić uwagę, że Włodzimierz, chociaż nieuczęszczał do szkół publicznych, nie był wychowany za granicą, ale całe wykształcenie swoje zawdzięcza nauczycielom albo krajowcom, albo choć cudzoziemcom, to jednak takim co krajowi służyli. Najznakomitsi naszych szkół profesorowie byli oraz nauczycielami domowymi Włodzimierza Dzieduszyckiego; tak: Kunzek w fizyce, Rochleder w chemii, Lemoch w matymatyce, Tangl w filologii, nareszcie z naszych Bielowski w historji, Pol geografji. Stroński filozofji.



Przyznać w tem trzeba wielką zasługę śp. Józefowi Dzieduszyckiemu, że chcąc syna wychować na obywatela pożytecznego dla kraju, umiał i chciał w kraju wyszukać dla niego przewodników naukowych. Niezawodnie już tedy sam kierunek, jaki ojciec nadał wychowaniu Włodzimierza, wpłynął znakomicie na przyszłe jego życie; ale obok tego i otoczenie, w jakiem się od młodych lat znajdował, przyczyniło się znacznie do tego, zwłaszcza że Włodzimierz Dzieduszycki łączy z wielkiemi zasługami niepospolitą skromność i ujmującą prostotę tak w obejściu się z ludźmi, jakoteż w całem domowem pożyciu. U Włodzimierza Dzieduszyckiego znajdziesz to, co tak często wychwalano u dawnych polskich panów, że odróżniali się od prostego szaraczka tylko wielką szczodrobliwością dla drugich.

Wspomnieliśmy, że wiele tego usposobienia można przypisać otoczeniu, w jakiem się znajdował. Już bowiem samo imię matki (Pauliny), która była siostrą Tytusa Działyńskiego i Klaudyny Potockiej, wskazuje, że nietylko po mieczu odziedziczył Włodzimierz zalety wielkiego patrjotyzmu i pochopności do wspierania oświaty. Niemożna także niewspomnieć mentora jego, Kleczkowskiego, którego zalety mniej głośne, ale niemniej godne są uznania niż niejednego, którego imię nabyło rozgłosu.

Pod tego mentora przewodnictwem odbył Włodzimierz Dzieduszycki dopiero w 20. roku życia (rodził się 22 Czerwca 1825 w Jaryszowie na Podolu, za kordonem) pierwszą podróż naukową za granicę. Podróż tą posłużyła mu tylko do przygotowania się na przyszłą swoją działalność, wielce pożyteczną dla kraju na polu nauk przyrodniczych.

Rok 1846. obudził w nim myśl usamowolnienia ludu wiejskiego, gdy zaś r. 1848. powołał go do życia publicznego, było jednem z najpierwszych dążeń Włodzimierza wprowadzić myśl tę w życie. Może byłby Włodzimierz Dzieduszycki, którego r. 1848. zastał właśnie wstępującego w zawód samoistnego działania, kiedy objął był po śmierci ojca (zmarłego w r. 1847.) zarząd rozległego majątku, może byłby się oddał bardziej życiu publicznemu, gdyby zwrot stosunków pod wpływem reakcji niebył zbił z toru każdego sumiennego i ojczyznę miłującego obywatela.

Należy i Włodzimierz Dzieduszycki do tych ludzi, którzy pomimo swojego łagodnego usposobienia i uległości w rzeczach, dotyczących własnego ich interesu, niedają sobie żadnej folgi wsprawach ogółu. Skoro droga życia politycznego została zamkniętą, zwrócił on się na nowo do gospodarstwa i nauk przyrodniczych z tem usiłowaniem aby niepozostać na stopniu powszedniej mierności. Teraz zaczął on zbierać dopiero owoce nauk zamłodu nabytych i rozpatrywania się za granicą. Ponowne jego podróże niesłużyły, jak innym panom, do rozpędzania nudów przez ustawiczną zmianę rozrywek, ale przyniosły rzetelne nau-

kowe pożytki. Zamiłowany szczególnie w ptakach, pomnożył on znakomicie zbiór ornitologiczny, który między innemi po ojcu odziedziczył. W podróżach swoich zwiedzał najcelniejsze ornitologiczne zakłady i pozawiązywał stosunki ze znakomitymi uczonymi, jak Brehm, Naumann, Zander, Baldamus, Reichenbach.

Jednak nie samo tylko ptastwo polskie znajduje w zbiorze Dzieduszyckiego reprezetację może zupełniejszą niż gdziekolwiek indziej, lecz w ogólności wszelkie rodzaje zwierząt; ale najobfitszym jest ten zbiór w ptaki, ryby, chrząszcze i motyle. Umiejętne uszykowanie tych okazów jest dziełem samego właściciela, przyczem tylko w niektórych działach wzywał pomocy mężów biegłych w odnośnych zawodach, jak n. p. Nowickiego do zbioru entomologicznego. Wszystkich okazów z dziedziny zwierząt krajowych znajduje się około 20000 w tym zbiorze.

Oprócz tego zebrał Dzieduszycki także i roślinne okazy, których część nabył po ś p. Jacku Łobarzewskim; posiada ich przeszło 10000. Zbiór mineralogiczny jest po części ułożony przez L. Zeisznera, obfituje w wskamieniałości i jest cenną pomocą do studjów geognostycznych. Dzieduszycki przygotował do druku opis umiejętny tych zbiorów z kolorowanemi rycinami, którym zapewne niezadługo zbogaci naszą literaturę, ubogą w tego rodzaju dzieła.

Literatura nasza zawdzięcza wprawdzie już niejedno Dzieduszyckiemu, ale są to prace innych jego nakładem wydane. Bielowskiego wstęp krytyczny byłby może długo czekał na możność pojawienia się w świecie, gdyby Dzieduszycki nie był temu przyszedł w pomoc. Chociaż dzieje nie są zawodem Dzieduszyckiego, to jednak umie on ocenić i wartość prac w tej gałęzi, i tak w bibliotece jako też w zbiorze rękopisów nagromadził wiele szacownych dla dziejopisarza materjałów. Znajdziemy tam zbiór medalów i monet, obejmujący kilka tysięcy sztuk, zbiór autografów i ważnych dokumentów.

W nakładach poświęcił Dzieduszycki największą uwagę dziełom przyrodniczym i matematycznym. Jego kosztem wyszły: Żmurka matematyka, Urbańskiego wykłady fizyki wyższej (po niemiecku), Żebrowskiego Teofila dzieło o owadach długoskrzydlnych, Witowskiego geologja, Krawczykiewicza arytmetyka dla szkół gimnazyalnych.

Tak rozgałęziona działalność Dzieduszyckiego na polu nauk nie mogła niezwrócić na niego baczności towarzystw naukowych, których bardzo wiele wezwało go do swego grona, jak n p. (pominąwszy polskie, które prawie wszystkie mianowały go swoim członkiem) w Dreznie i Altenburgu towarzystwa, mające pielęgnowanie nauk przyrodniczych na celu, geologiczny zakład w Wiedniu i i.

Niebrakło także na odznaczeniach i w gospodarskim zawodzie, ku któremu, jakkolwiek innym zawodom uwagę, siły i zasoby poświęcając, Włodzimierz Dzieduszycki zawsze największą baczność zwracał. Płody gospodarcze z dóbr Włodzimierza otrzymały na różnych wystawach Europy odszczególniające wzmianki albo nagrody.

Obok tego wszystkiego jest Włodzimierz Dzieduszycki nietylko protektorem, ale rzeczywistym miłośnikiem sztuk pięknych.

Pokłada on w tem ambicję swoją, aby od każdego z polskich artystów posiadać choćby jeden oryginalny utwor. Dom jego jest też ozdobiony pracami znakomitych tegoczesnych malarzów naszych; w tekach posiada on niektóre z najcenniejszych rysunków Grottgera, wiele prac Tepy i i. Szczególnie godnym uwagi jest zbiór typów ludowych, które Włodzimierz Dzieduszycki ze szczególnem umiłowaniem nagromadza; znajdują się tam prace Tepy, Grabowskiego, Dzbańskiego, Pietrusiewicza; także zbiór portretów znakomitych Polaków.

Zbiory Włodzimierza Dzieduszyckiego są tedy świadectwem jego wielostronnego działania na polu umysłowego życia. Niebyłyby one wszelako prócz tego niczem więcej, jak tylko dowodem zamiłowania, które wprawdzie przynosiłoby zaszczyt ich właścicielowi, zwłaszcza gdy tak wiele na to łoży pieniędzy i pracy, a nawet nie wielki zapowiadało by pożytek dla kraju, gdyby Włodzimierz Dzieduszycki ograniczył się tylko na zbieraniu, porządkowaniu i opisywaniu takowych, nie dając do nich przystępu publiczności.

Jednak Dzieduszycki robi ze swoich zbiorów użytek, który możemy nazwać obywatelskim. Otworzył on je dla publiczności, a przystęp, należy to wyznać, jest do nich łatwiejszy, niż n p. do naszej biblioteki uniwersyteckiej a nawet poniekąd i do Ossolińskich. Pomimo tego niesłyszeliśmy, ażeby w skutek tego poniosły zbiory Dzieduszyckiego jakie szkody, na co się w publicznych naszych bibliotekach bardzo użalają.

Sprowadził Włodzimierz Dzieduszycki zbiory swoje do Lwowa od lat przeszło dziesięciu, i wyświadczył już przez samo ich otworzenie dla pracujących w literaturze, jakoteż dla młodzieży uczącej się niepospolitą przysługę.

Cośmy dotąd powiedzieli o Włodzimierzu Dzieduszyckim, to charakteryzuje go jako mecenasa, który sobie za obowiązek poczytuje wspierać sztuki i nauki, i który prócz tego jest w nich szczerze zamiłowany. Ponieważ jednak nadmieniliśmy, że dawał on jeszcze innego rodzaju dowody swego obywatelskiego poczucia, i przytoczyliśmy na przykład to, że zbiory swoje sprowadziwszy do Lwowa otworzył dla użytku publiczności, więc wypada podać jeszcze inne rysy charaktyrezujące go pod tym względem.

Lat temu dwadzieścia i ośm byłto rok we Lwowie i w kraju całym odznaczający się wielkim ruchem, który chociaż smutkiem napełniał wtedy wszystkie serca polskie, jest jednak dzisiaj dla nas miłem wspomnieniem.

Było to w roku 1840., kiedy policya austryjacka trjumfowała z odkrycia szeroko rozgałęzionego spisku. Młodzież, która niedostała się do więzienia, zazdrościła starszym i rowiennikom, których spotykało nieszczęście wprawdzie, ale otaczało ich zarazem blaskiem czci powszechnej. Między tymi więc, co niedojrzeli jeszcze byli do godności męczeństwa, lub których pomyślny zbieg okoliczności uchronił od nieszczęścia, objawiła się dążność ku temu, aby przynajmniej mężom przychylnym dla sprawy postępu i nieokazującym nieprzyjaźni dla polskości, odwdzięczyć ich usposobienie publicznem uznaniem.

Do takich należeli wtedy profesorowie uniwersytetu Kunzek i Mauss. Byli oni lubieni u młodzieży i byli oraz przyjaciołmi młodzieży, znani z postępowych usposobień, z któremi nawet niekiedy publicznie się zdradzali, a co najwięcej zjednywało im serca młodzieży, niepochwalali bynajmniej politycznych prześladowań, które wtedy były bardziej niż kiedy na porządku dziennym. Po części tedy aby objawić swoją cześć dla tych mężów, po części zaś aby dać uczuć prześladowcom, że polska młodzież umie i w cudzoziemcach ocenić prawdziwą zasługę, postanowiono litografować portrety tych dwóch profesorów.

Zbierano w tym celu subskrypcję między młodzieżą uniwersytecką, i przypominamy sobie dokładnie, jak młodziuchny wówczas Włodzimierz Dzieduszycki pod przewodnictwem Kleczkowskiego zgłosił się jako subskrybent, chociaż nieuczęszczał na uniwersytet. Uprzedziło to wówczas młodzież o tyle na korzyść Dzieduszyckiego, że we wiele lat potem jeszcze zawsze poczytywano go za jednego z najrzetelniejszych zwolenników postępu i wolnomyślności między arystokracyą. Spostrzegaliśmy zresztą kilkakrotnie Włodz. Dzieduszyckiego zbliżającego się do rowienników swoich, podobnie jak poźniej, gdy już wyszedł sam z lat młodzieńczych, wziął czynnie w swoją opiekę wielu z młodzieży, przykładających się do nauk lub do sztuki. Wspominamy tu tylko jednego, a tym był zmarły niedawno w Krakowie Bogusław Kopczyński med. dr., który wielkie rokował nadzieje.

Wiadomo zresztą, że kiedy Szajnocha ociemniał i niemógł dalej piastować urzędu swego przy bibliotece Ossolińskich, a w skutek tego i płacę swoją w znacznej części utracił, uzupełnił Włodz. Dzieduszycki brak, jaki ztąd powstał w dochodach Szajnochy pensją dożywotnią, której mu udzielił pod bardzo delikatnym pozorem, aby nieubliżyć godności Szajnochy, bo dawał to jakby zaliczkę na przyszłość, gdyby miał syna, którego naprzód oznaczonym mentorem był Szajnocha. Syn się nie narodził, a choćby się narodził długoby czekać wypadało, nimby mógł z mentorstwa Szajnochy korzystać.

Niepodobna wymieniać wszystkie przykłady dobroczynności Włodzimierza Dzieduszyckiego, nieto jest też celem naszym. Wspominamy tylko o tych, które mają bardziej publiczne i dla ogółu doniosłe znacznie. Dla tego wypada przypomnieć, że Jagielloński uniwersytet zawdzięcza jemu bardzo znaczne dwa stypendja, jedno dla docenta weterynarji z dotacją 800 zł. w. a., drugie dla docenta anatomji patologicznej z dotacją 400 zł. w. a. Owczarnia w szkole dublańskiej dźwignęła się także w znacznej części za jego pomocą.

Są zresztą zasługi, nawet publiczne, których odsłonięcie trzeba dla osobistych względów pozostawić przyszłości. Zwróciły one wszakże do tyla uwagę publiczną na Włodzimierza Dzieduszyckiego, że w r. 1867 został wybrany posłem na sejm, poźniej zaś prezesem rady powiatowej brodzkiej. Chcąc się oddać z całą usilnością i zamiłowaniem nowo zaprowadzonej autonomicznej instytucji, złożył on mandat poselski. Jako prezes rady powiatowej brodzkiej ma wielce trudną pozycję, bo jestto jedna z owych nie wielu rad, gdzie żywioł narodowy jest narażony na walkę. Prawy jego i łagodny charakter usposabia wszakże Wł. Dzieduszyckiego szczególnie do takiej pozycji, i dla tego spodziewamy się, że on doprowadzi łatwiej radę powiatową brodzką do tego stanowiska, na jakiem ją każdy prawy patryota widzieć pragnie, niżby to inny uczynić był w stanie.

Karol Widman.

KRZEMIENIEC.

Jak niemal wszystkich naszych starych grodów, tak i Krzemieńca początek ginie we mgle odległej przeszłości. Poszło na zawsze w niepamięć i zatarł się wszelki ślad w dziejach o tem, kto i kiedy założył kamień węgielny krzemienieckiego zamku.

Pierwszą wieść o Krzemieńcu znajdujemy już w r. 1064, a w r. 1240, kiedy wszystkie zamki na wołyńskiej Rusi pozdobywali i poburzyli Tatarzy, jeden Krzemieniec był tak już warownym, że się im obronić zdołał. Nie zawsze jednak odtąd powodziło się tak szczęśliwie Krzemieńcowi. Już w r. 1261 zburzył kniaź Wasyl z rozkazu Tatarów mury Krzemieńca, ale niebawem Mścisław Danitowicz napowrót je odbudował. Przeszedłszy za Kazimierza W. w r. 1366 do Polski, bywał następnie Krzemieniec przedmiotem zatargów pomiędzy Litwą i Polską, aż wreszcie za Władysława III. na rzecz korony zajęty, oddany został w posiadanie Teodorowi ks. na Nieświeżu. Zygmunt I. obdarzył tem miastem, nadając mu nowe przywileje, ks. Janusza, biskupa wileńskiego, który wiele dołożył starania około silniejszego ufortyfikowania zamku Krzemienieckiego.



KRZEMIENIEC.

Poźniej otrzymali mieszczanie krzemienieccy nowe rozleglejsze jeszcze przywileje od króla Zygmunta, który gród ten wraz z całem starostwem, po postąpieniu ks. Janusza na biskupstwo poznańskie, małżonce swojej Bonie nadał, wkładając obowiązek poprawiania warowni i utrzymywania załogi na zamku krzemienieckim, jako w twierdzy, która położona jest „tuż przed paszczą nieprzyjaciół krzyża ś."

Od tego czasu przechodził Krzemieniec jako starostwo w ręce różnych właścicieli, i podobnie jak wszystkie dawne grody nasze niedbalstwem starostów coraz bardziej podupadał. Ostatni cios zadały mu bunty ukraińskie i łupież, którą w mieście i zamku wyprawił Krzywonos ze swymi hajdamakami. Kiedy w r. 1731, jadąc do Wiśniowca, zwiédzał Stanisław August Krzemieniec, stały już z warownego niegdyś zamku tylko zewnętrzne mury w znacznej części porozwalane w gruzy.

Wówczas jednak słynął już Krzemieniec czem innem, co bardziej niż dawniejsza warowność upamiętniło imię jego w dziejach Polski. Słynął on szkołą, która wkrótce staraniem Tadeusza Czackiego miała się podnieść do rzędu najznakomitszych instytutów naukowych.

W r. 1720 założyli w Krzemieńcu Janusz i Michał, ostatni z książąt Wiśniowieckich, klasztor Jezuitów, którzy jak wszędzie przy klasztorach swoich tak i tutaj otworzyli szkoły. Po zniesieniu zakonu Jezuitów objęła w r. 1775 te szkoły jak również i fundusze do nich przywiązane komisya edukacyjna, i przeistoczyła je w szkołę wydziałową, mianując nauczycielami już to akademików krakowskich, już też niektórych członków zniesionego zakonu. Dnia 19. grudnia 1803. pozwolono na założenie gimnazyum wołyńskiego w Krzemieńcu, które we dwa lata poźniej po wielu trudach i poświęceniach urządził i otworzył Tadeusz Czacki. Staraniem Czackiego została ta szkoła zaopatrzona w piękną bibliotekę, liczącą 32.768 tomów, w gabinety matematyczny, fizyczny i mineralogiczny; otrzymała ogród botaniczny i uzupełniła się osobną szkołą dla geometrów i mechaników. Nie mogąc się pomieścić w gmachu pojezuickim zajęto jeszcze i klasztor bazyliański na potrzeby szkoły, której liczba uczniów i fundusze coraz się pomnażały. W r. 1833. zamknięto liceum krzemienieckie, a zbiory jego przewieziono do Kijowa.



RĘKA W RĘKĘ. (str. 18.).

Obecnie ludność Krzemieńca wynosi 4.292 chrześcian i 7.261 żydów. Mieszkańcy trudnią się głównie uprawą tytoniu, która im znaczne przynosi korzyści. Z dawnego zamku sterczą już tylko malownicze gruzy na krzemienistej górze, od której prawdopodobnie otrzymało miasto swoją nazwę. Kościół pojezuicki zajęło szyzmatyckie duchowieństwo, a w murach zniesionego liceum pomieszczono seminaryum moskiewskie. Ten sam los spotkał dwa inne klasztory tamtejsze Franciszkanów i Reformatów. *L. T*

RĘKA W RĘKĘ.

OBRAZEK SPÓŁCZESNY, WYCZYTANY Z AKWARELI PANA TEPY.



Cześć tobie, życia wiosno,
Wieku szczęścia i swobody!
W tobie tkwią zarody
Cnót, co bożem tchnieniem rosną
I jak rajskiej woni kwiaty
Leją czar na światy!

Pokrzepiona ducha rosą —
Wyroiła się jak pszczoły
Dziatwa z wiejskiej szkoły;
Ten ozuty, a ów boso,
Ten w kubraku — ów w żupanie,
Ot — jak kogo stanie.

Ale któż tam o strój pyta,
Gdzie świat jeszcze serc nie studzi
Ani dzieli ludzi,
Gdzie myśl zorzą prawdy świta,
A miłości zdrowe ziarno
Idzie w siew nie marno!

Więc nie razi też Adasia —
Choć wygląda coś na panka —
Wieśniacza płótnianka;
Bo za szyję wziął Iwasia,
I rówieśni sercem — szkołą —
Patrzą w świat wesoło.

— „Wiesz Iwanku: twoja chata —
Choć to ojcowizna droga —
Ciasna i uboga;
Ja cię przyjmę sercem brata,
U mnie znajdziesz chleb, dostatki
I opiekę matki.“

— „Eh paniczu, co wam w głowie!
Alboż może Rusin z Lachem
Żyć pod jednym dachem?
Jam chłop zresztą — wy panowie —
Rodzimy się z woli nieba
Do innego chleba.“

— „A Bóg z tobą! Jakaż mara
W twoje serce jad ten sączy?
Alboż nas nie łączy
Jeden Bóg i jedna wiara,
Spólne niebo — spólna dola
I ojczysta rola?

„Patrz na naszym tu cmentarzu
Leżą w zgodzie i równości
Naszych dziadów kości;
A w kościółku przy ołtarzu
Klęczą matki nasze razem
Przed jednym obrazem.

„Bośmy jednej matki dzieci —
Czy Rusini czy Polacy —
U niej my jednacy;
I pokąd to słońce świeci,
Pokąd bratnia krew w nas płynie —
Matka ta nie zginie!“

— „Tak Adasiu! — i ja czuję,
Że to wszystko prawda święta;
Tylko złość przeklęta
Nasze serca fałszem truje
I swą ręką zaślepioną
Krwawi matki łono...

„Lecz dziś precz już z tą zakałą!
Niech nam zgoda zbroi ramię
I braterstwa znamię: —
A do boju staniem śmiało,
I pewno się przed tą zbroją
Wrogi nie ostoją!“

I podali sobie dłonie...
A tam z góry anioł boży
Radością im wtórzy; —
Bo gdzie zgoda jest w zakonie
Gdzie sterniczką miłość ludu —
Tam nie braknie cudu!

W październiku 1868.

Fr. Waligórski.

SŁOWO BEZ ECHA!

SZKIC POWIEŚCIOWY

PRZEZ

JANA ZACHARYASIEWICZA.

Na wynioślejszym brzegu Bugu, wchodzącego w Podlaskie, gdzie dzisiaj sterczą gruzy zczerniałe jakby po pogorzelisku, stał przed laty kilkunastu ładny dworek, ocieniony dokoła staremi lipami. Z dworku na drugą stronę rzeki był cudowny widok. Kilkanaście osad rozłożyło się na brunatno-zielonej przestrzeni, połączonych z sobą jasnemi smugami dróg i ścieżek.

W dworku przed gankiem siedziało dwóch staruszków. Jeden był w szarej kapocie, drugi w czarnej sutannie.

— A ja wam powiadam księże proboszczu — mówił jegomość w szarej kapocie — że jak było dawniej tak było, a przecież mnie się zdaje, że było lepiej. Bo nie mówiąc już o tem, o czem mówić nie można (tu obejrzał się staruszek uważnie na około), ale co do samych stosunków rodzinnych to było inaczej. Życie traktowano jako obowiązek, i to twardy obowiązek, i nieobiecywano sobie niebieskich migdałów. Jako robotnik pracowity wychodził każdy o świcie na swój zagon i stawał do dziennej roboty. Toż był czas i spocząć i zjeść co Bóg dał, a poźnym wieczorem błogo usnąć pod brogiem złotej pszeniczki!

— Jeżeli mnie mój domysł nie myli — odparł jegomość biorąc szczyptę tabaki — *illustrissimus dominus* opowiada te wszystkie ładne rzeczy z ukośnem wejrzeniem na pana Karola, chociaż go *in persona* tutaj niema. O wiem, wiem, że to mocno cięży na sercu rodzicielskiem, kiedy latorośl jego wystrzela pod niebiosa sama jedna, bez żadnej drugiej gałązki, *subintelligitur generis feminini!*... A co? Prawda, że zgadłem?... *Magister* Bączalski zawsze mawiał: Ksawerek to chłopak nadzwyczaj domyślny! Gdyby mógł być przy stworzeniu świata, to gotów był domyśleć się, jak się robią góry, wyniosłe cedry i figi sułtańskie, których jest wielkim amatorem! Mianowicie ostatnie byłby codziennie sam stwarzał i jak drugi Kronos własne swoje dzieła na podwieczorek zjadał!

— Nie ma co mówić— zawołał śmiejąc się staruszek — jesteś jegomość domyślnym jak rzadko! Ale z drugiej strony rzecz obejrzawszy, nie sztuka odgadnąć to, o czem się górą lat dziesięć na dzień trzy razy mówi! Przypominasz sobie jegomość, tu na tem samem miejscu, gdy żyła jeszcze nieboszczka żona... a jak umarła jest temu lat dziewięć, trzy miesiące i dni jedenaście!...

Tu nastąpiła pauza. Do towarzystwa dwóch staruszków przybył ktoś trzeci. Był to cień poczciwej kobiéty, zmarłej przed laty dziewięciu...

— Otóż mówię ci, *reverendissime* — ciągnął po chwili staruszek w kapocie — że od lat dziesięciu nie mam spokoju ani we dnie ani w nocy. Nieboszczka żona moja niezmiernie trwożyła się o przyszłość Karola. Umierając zaklinała mnie jeszcze w ostatniej chwili...

— No, przecież nic złego się jeszcze nie stało! Pan Karol mężczyzna jak samo zdrowie, moście Benedykcie.

Pan Benedykt machnął ręką, otarł dłonią oczy i rzekł po chwili smutno patrząc przed siebie:

— Gdy patrzę na Karola, na jego twarz zdrową, białą i uśmiechniętą, to zdaje mi się, że patrzę na jasne, pogodne niebo, na którem ani jednej chmurki nie ma, a z którego lada chwila może runąć grom i spaść deszcz nawalny!

— Przewidzenia, przewidzenia, *illustrissime! Vinum hungaricum* codzień kieliszeczek przed obiadem, po obiedzie i do poduszki, to i czarne przewidzenia odlecą od człowieka. Starość nie radość, a jak machina zaczyna skrzypieć, to *tandem* trzeba czemś posmarować, albo przynajmniej odwilżyć.

— Pomyśl sam jegomość, że już mu lat dwadzieścia ośm.

— A waszeć, panie Benedykcie, wiele mieliście, kiedy tą zieloną landarą wiózł was Mateusz do mnie?...

— To były inne czasy, inna sytuacya mospanie. Odebrało się majątek zadłużony *ob rebus publicis.* Były także trzy siostry do spłaty. Jakże to było w takie dziurawe gniazdo brać małżonkę? Otóż pracowało się nad tem gniazdem, latało i wiązało jak można było. A gdy już był jaki taki ład i porządek, wtedy to dopiero pomyślało się o dozgonnym towarzyszu.. Mocny Boże! Któżby był powiedział, że dzisiaj sam...

Znowu ubiegła chwila milczenia. Cień nieboszczki przemknął się znowu przed ganek i wionął ku Bugowi.

— Dzisiaj — mówił dalej staruszek — rzecz się inaczej przedstawia. Majątek jest cały, okrągły jak orzech. Nigdzie nie ma dziury, ani żadnej przerwy. Wprawdzie zabiera mi Bug co roku na wiosnę kilka zagonów urwiska, ale za to ustępuje mi tyle po drugiej stronie dobrego, urodzajnego nasypu. Jest więc wszystko w porządku, tylko pójść i sprowadzić samiczkę do gniazda, i żyć dalej poczciwie, pracowicie, jak Bóg przykazał...

— Ale koniec końców cóż na to mówi pan Karol? — zauważył jegomość obracając tabakierkę.

— Karol powiada, że trudno zawierać mu ślubów, jak się zawierają kontrakty na wełnę.

— Więc trzeba go w świat puścić! Niech się obejrzy, niech polata jak jaskółka tu i tam!

— Latał już latał, a sam jegomość wiesz, co to pieniędzy kosztowało! I cóż ztąd?

Proboszcz zamyślił się kręcąc tabakierkę to w tę to w ową stronę. Po chwili uśmiechnął się i rzekł:

— Jużto *magister* Bączalski mawiał zawsze w klasie, jeżeli *audytoryum* jakiego figla mu wypłatało: To pewnie Ksawerek wymyślił i do wszystkiego plan ułożył!... I w samej rzeczy miałem wielki talent coś wymyślić i zgrabnie ułożyć. Żałuję, żem się nie ćwiczył w pisaniu. Byłbym pisał nader pocieszne dykteryjki, daleko lepsze od tych, jakie dzisiaj piszą i drukują.

— Więc cóż tam ułożyłeś *reverendissime* w sprawie mego Karola? Widzę, że już jest coś w zanadrzu?

Proboszcz milczał czas niejaki. Bębnił palcami po tabakierce i wyciągał pół głosem: „*ite missa est*" z wszelką właściwą mu koloraturą, jaką słynął na wszystkich odpustach. Po długiej chwili ozwał się:

— Wiesz waść co? Rzecz trzeba tak urządzić: Najprzód nie trzeba mu kłaść przed oczy wyraźnego celu. Młodzi ludzie lubią mieć własną wolę. Otóż należy rzeczy tak postawić, żeby pan Karol niby sam na coś trafił, a to tymczasem będzie ukartowane!...

— Ej, ej! To już na to nie moja głowa! Gdzie mnie tam wymyślać romanse!

— Poczekaj-no panie Benedykcie, bo mi psujesz myśli... Wszak rejent pan Ambroży to jakiś tam krewny, choćby nawet dziesiąty kół w płocie! Przypominam sobie św. p. Piotrowa...

— A tak, krewny i to nawet nie tak daleki, jak jegomość sądzisz!

— Widzisz *illustrissime*, już się klei. Jedna figura jest, teraz szukajmy dalej!

— Szukajże wiatra po polu! A cóż tam przy poczciwym Ambrożym znajdziesz?

— No, przecież tak pusto w koło niego nie będzie! Wprawdzie mówią, że poczciwy człowiek to jak drzewo samotne w polu, a to co go otacza, to same chwasty i niedorostki! Otóż chwasty zostawmy na boku, a szukajmy między niedorostkami!

Pan Benedykt postawił naprzód sztorcem wąsy, potem złożył usta do uśmiechu i rzekł:

— Jegomość coś o niedorostkach zaczynasz prawić, ale przy panu Ambrożym —

— Pan Ambroży ma przecież siostrę wdowę z córką jedynaczką... posessya przy ulicy pryncypalnej o dwóch numerach, a nawet mówią, że nieboszczyk coś tam kapitaliku uskładał!...

Pan Benedykt myślał długo nad tem, co mu towarzysz powiedział. Twarz jego rozjaśniała się powoli. Widać było, że ten planik szanownego ojca Ksawerego zaczął mu do smaku przypadać!

— Ba! — zawołał po chwili ze smutkiem, to być nie może! *Magnum impedimentum reverendissime!...* Michalina jest jedynaczką!

— Toż właśnie największa jej zasługa! Cały majątek zostanie się w jednej ręce!

— Ależbo jedynaczki to zazwyczaj są kapryśne, zepsute, zgoła do niczego!

— Et! Czytałeś zapewnie waść jaką książkę o jedynaczkach! Co też dzisiaj nie piszą! A zresztą gdyby nawet w samej rzeczy była gdzie zepsuta, kapryśna jedynaczka, to jeszcze nie można ztąd wnosić, aby córka siostry pana Ambrożego również taką była! To jest czysta kalumnia!

— Przebacz, przebacz *reverendissime!* Tak wprost tego nie mówiłem. Była presumpcya...

— A więc pozwól mi skończyć. Pan Karol niech jedzie do Warszawy. Tu w okolicy dla niego nic nie ma, kiedy dotąd nic sobie nie upatrzył. Wasze dasz mu listy do rejenta, a rejent resztę zrobi.

— Myślisz że mój syn zaraz nie domyśli się łapki!... Ale zaczekaj, trzeba ten plan uzupełnić. Jest tam w Warszawie stary pułkownik pan Jędrzej, mający górą lat ośmdziesiąt. Spadek po nim jako najbliższym krewnym nam się należy. Nie dawno właśnie miałem wiadomość, że jest obłożnie chory. Wypada więc, aby Karol tam do niego pojechał i przy staruszku z godzinę na dzień przesiedział.

— Zgoda! — zawołał proboszcz i zażył raz po razu dwie szczypty tabaki—przecież to prawda! Jak się dwóch mądrych ludzi zejdzie, to przecież nic głupiego nie wymyślą!

I zaśmiał się serdecznie poczciwy proboszcz, aż echo z drugiego brzegu Bugu odpowiedziało.

— A jeszcze to dodam — ozwał się po chwili — że na intencyę tej szczęśliwej myśli odprawię jutro nabożeństwo, na które was panie Benedykcie *solenniter* zapraszam.... Otóż i pan Karol! Ale któż to ten drugi? Przyznam się, że jakaś nieszczególna figura!...

II.

Do ganku zbliżało się w tej chwili dwóch ludzi powolnym krokiem, jakby z wielką uwagą z sobą rozmawiali.

Jeden z nich był jasny blondyn, miał twarz rumianą i duże niebieskie oczy. Chód jego i ruchy były swobodne i naturalne. Rozprawiał rękoma i od czasu do czasu śmiał się serdecznie.

Towarzysz jego był o wiele wyższym, miał ramiona do góry podniesione i twarz ku ziemi pochyloną. Jeżeli chciał przed siebie spojrzeć, to nigdy nie podniósł całej głowy, tylko czarne oczy do góry wywrócił. Rysy jego twarzy były grube a tępe. Nie było na niej żadnego wło-

ska, tylko głowa miała dość bujne przykrycie. Z ubioru zakrawał na człowieka podróżnego, jak o tem świadczyła mała torebka przez plecy zawieszona.

— Cóż to za zdobycz pan Karol nam prowadzi?— ozwał się ksiądz proboszcz, podczas gdy pan Benedykt marsa postawił i na syna z widocznem niezadowoleniem z ukosa spojrzał.

— Jakto? Czy ojciec nie poznaje?... A ksiądz proboszcz mógłby także sobie przypomnieć...

— Stara moja pamięć zawodzi mnie! — odparł pan Benedykt i wydął usta na znak nieukontentowania.

— A cóż dopiero moja pamięć, która jest starszą o lat dziesięć! — dorzucił proboszcz.

— Pan Fedor, który niedawno polował z nami w okolicy...

— Pan Fedor, pan Fedor! — machinalnie powtórzyli obaj staruszkowie.

Twarz Karola zarumieniła się nieznacznie. Ojciec i ksiądz proboszcz jakoś nader ozięble przyjęli nowego gościa. Chcąc to niemiłe wrażenie prędko zatrzeć, zwrócił się do ojca i rzekł:

— Pan Fedor był tak dobry, że przyjął zaproponowany mu przezemnie nocleg u nas. Jedzie właśnie do miasta powiatowego, dokąd bryczka jego odeszła.

Po niejakiej pauzie, która niewszystkim była nader przyjemną — odpowiedział pan Benedykt:

— Obowiązkiem ojca jest dotrzymać słowa, które syn jego imieniem dał podróżnemu. Witam więc pana, jako gościa w ubogim, polskim dworze.

Szarego koloru twarz przybysza ożywiła się ironicznym uśmiechem. Podziękował za łaskawą gościnność, mówił coś o drogach niewygodnych, łajał pocztyljona, który go wiózł po zagonach, a w końcu odszedł z Karolem, który go do gościnnego pokoju zaprowadził.

— Przyznam się — rzekł pan Benedykt po odejściu gościa — żem nigdy nie zaznał dziwnieiszej impressyi, jak dzisiaj na widok tego człowieka. Zdaje mi się, że ten człowiek niesie mi jakieś nieszczęście!

— I ja wolałbym — odparł proboszcz, sięgając do tabakierki—i dałbym nawet za to jałmużnę żebrakowi, gdybym dzień dzisiejszy zakończył na pogadance z wami obydwoma. Ale i tak niech będzie świętą wola pana Boga... chodź tu Marku!

W tej chwili kulawy żebrak, który snać za gościem dążył, zbliżył się do ganku. Proboszcz pchnął mu coś do ręki, a za przykładem proboszcza poszedł i pan Benedykt.

— Oby Bóg stokrotnie wynagrodził! — zawołał dziad kulawy i zaczął szeptać pacierze.

III.

Kiedy Karol swego gościa we wszystko zaopatrzył, co mu do odświeżenia się z podróży potrzebnem było, wyszedł na ganek i przyłączył się do siedzących tam staruszków.

Ojciec Karola milczał, lecz twarz jego okazywała jasno, że w duchu prowadził z sobą żywą rozmowę. Przy tem od czasu do czasu machnął ręką i splunął dosyć głośno na ziemię. Pięćdziesięcioletni towarzysz jego zrozumiał pana Benedykta lepiej od syna. Odkręcił tabakierkę i rzekł:

— Jeźli się nie mylę, to gość pana był dawniej urzędnikiem przy władzy powiatowej i coś tam potem przeskrobał, za co na czas niejaki we funkcyi zawieszony. Zdaje mi się, że nawet mówiono —

— Tak jest, to ten sam — odparł Karol—i mocno mnie to obeszło, że ojciec —

— Bo ja ci szczerze i otwarcie powiem — odparł gniewnie pan Benedykt — że podobnych gości nie lubię!

— Ależ ojciec zaraz ze swoim rygorem! Trzeba zawsze rozróżnić ludzi od ludzi.

— Właśnie ja rozróżniam i dobrze patrzę komu podać rękę, a tobie wszystko jedno, czy ziarno czy plewa.

— Pan Fedor nie jest taki jak inni.

— Oni wszyscy jednacy! Daj mi spokój! Dla mnie dosyć, jeźli się popatrzę na czapkę.

Karol rozśmiał się, jak się zwykli śmiać młodzi ludzie, jeźli starszy coś mówi, a co się z ich wyobrażeniami nie zgadza. Uśmiech ten długo chodził po jego twarzy od ust do oczu i napowrót.

— Trudno mi ojca przekonać — ozwał się po chwili — bo ojciec z tem się już urodził. My inaczej na świat się zapatrujemy. Rozróżniamy system od ludzi. System może być najgorszy a ludzie nie źli.

— A niech cię Bóg ma w swej opiece z taką mową!— odparł żywo pan Benedykt i splunął głośno.

— Czy sądzi ojciec, że byłbym zdolny do jakiego kompromisu? Uchowaj Boże! Ja zostanę zawsze przy swojem i wytrwam aż do końca. A tymczasem —

— Tymczasem takim jak gość twój dawać obiadki, wyprawiać polowania, łasić się jak pies głodny.

— Fakt jest faktem, a nam potrzeba w życiu codziennem ten fakt uwzględnić — wszak codzienne stosunki, każdy krok nasz, zwykły interes wymagają tego. Jakże inaczej postąpić?

— *Est modus vivendi!* — wtrącił proboszcz bawiąc się tabakierką, na której był portret jakiegoś hetmana.

— A zresztą wracam do tego, że ludzie ludziom nie równi — prawił dalej Karol — I między nimi są ludzie, którzy nam szczerze sprzyjają. Osobliwie młodsza generacya inne wyobrażenia przynosi z sobą.

Pan Benedykt nic na to nie odpowiedział, tylko gryzł wąsy i tupał w takt nogą, jakby chciał myśli swoje zagłuszyć. Proboszcz odkręcał i zakręcał tabakierkę, rozmiłowawszy się nagle w przeraźliwem skrzypieniu.

— Dzisiaj — mówił dalej Karol — niepowinniśmy jednych i drugich jednako sądzić. Dopokąd nie umiemy rozróżniać grzybów od jadowitych muchomorów, to powinniśmy wszystkie na boku zostawić. A skoro nauczymy się odróżniać je, to nie jest grzechem, jeżeli jednego skosztujemy.

— Być może, że wy macie strawniejsze żołądki! Mój stary żołądek takiej strawy nie zniesie.

— Zresztą, wszak pan Fedor jest dzisiaj w niełasce. Cały powiat wie o tem.

Pan Benedykt machnął na to ręką, ale nic nie odpowiedział, bo właśnie gość zbliżał się do ganku.

IV.

Nazajutrz wstał pan Benedykt jakoś zmęczony i blady na twarzy, jakby w nocy nie spał. Gość już świtem odjechał do miasta powiatowego. Karol właśnie odprowadził go do granicznego kopca.

Po śniadaniu, gdy służba ze stołu już sprzątnęła, patrzał pan Benedykt czas niejaki na syna a potem rzekł:

— Śnił mi się dzisiaj stary pułkownik. Klął po swojemu i wymyślał na mnie co się zmieści. Widziałem go leżącego na łóżku z podwiązaną brodą. Był blady jak trup i patrzał w słup przed siebie.

— I ja dzisiaj miałem sen dziwny! — odparł Karol, który przez cały czas śniadania był zamyślony.

— Cóż ci się śniło? Może te dwa sny złożą się jakoś w jeden. Może wreszcie i co nam się wyśni....

Karol milczał czas niejaki. Patrzał na ojca jakby go badał. Po chwili ozwał się:

— Nim Fedora spotkałem, szedłem wąwozem, który prowadzi do przewozu. Na prómie była właśnie jakaś kareta, do której zaprzężone były cztery gniade konie. Widać, że konie niepokoiły się podczas przewozu, bo z karety wysiadły trzy kobiéty. Gdy prom przybił do brzegu, wyjechała naprzód kareta, a za nią wyszły kobiéty i spory kawał wąwozem poszły do góry. Na samem wzgórzu stanęła kareta, a kobiéty usiadły na powalonej dzikiej gruszy, którą wicher przed miesiącem z korzeniem wywrócił. Podszedłem nieco bliżej i chwilę przypatrywałem się siedzącym. Jedna z nich zakrawała na matkę, druga na córkę, a trzecia na służącą.

— Otóż gdy tak stary pułkownik na łóżku z podwiązaną brodą leżał — mówił dalej pan Benedykt, który syna tylko jednym uchem słuchał — zdjął mnie strach niemały, bo zazwyczaj tylko trupy tak leżą....

— Kiedym chwilę na siedzące kobiéty patrzył — ciągnął dalej Karol zajęty swemi myślami — zdawało mi się, że starsza coś na wschód ręką wskazywała, a młodsza przytem oczy ocierała. Zainteresowało mnie to. Trzymając się ścieszki po drugiej stronie wąwozu, zbliżyłem się o ile mogłem... Twarzy młodszej kobiéty nie mogłem widzieć, bo było za daleko, zresztą miała grubą zasłonę i często rękę z chustką przy oczach trzymała... Zdaje mi się jednak, że była bardzo piękną.

— Tam do kata! Zkąd wiesz że piękna, kiedy jej nie widziałeś?... Stary pułkownik był tak blisko mnie, żem ręką mógł go dosięgnąć. I wyraźnie widziałem, jak martwym okiem patrzał, klął co się zmieści, a przytem marszczył czoło i ruszał wąsami....

— Niezawodnie była piękną, bo inaczej być nie mogło... Stałem długo, dosyć długo —

— Głupcze! — krzyknął stary pułkownik do mnie — tož nie wiesz, że mam lat ośmdziesiąt górą?

— Pawle! — zawołała starsza — zapytaj tam tego podróżnego, czy nie zmyliliśmy drogi do Warszawy?

— I cóż w tem dziwnego? Pleciesz androny! Czy to po raz pierwszy pytał się podróżny o drogę?

— Ja w tem także nic dziwnego nie widzę, że pułkownik po raz pierwszy ma lat ośmdziesiąt.

— Gdzie tam ośmdziesiąt! Ośmdziesiąt i trzy, a na św. Jędrzej będzie już na czwórkę.

Nastąpiła długa pauza. Pan Benedykt myślał o starym pułkowniku z brodą podwiązaną, a Karol o czterokonnej karecie, której właśnie teraz wskazywał drogę do Warszawy.

— Koniec końców starego pułkownika nie można tak zostawić, jak ty zostawiłeś owe damy —

— Ależ ojcze, ja nie zostawiłem ich w niepewności. Opisałem furmanowi jak mogłem najwyraźniej drogę do Warszawy, a przytem dowiedziałem się, że panie były z Litwy.

— Stary pułkownik obrócił się na łóżku do mnie i zmierzył mnie szklannemi oczyma —

— Kiedy z furmanem mówię, zwróciła się ku nam młoda kobiéta i wtedy ujrzałem jej oczy —

— Ej co tam oczy żyjącego człowieka! To nic tak strasznego. Nie zabiją ani nie pożrą nikogo.

— Nie wierzysz ojciec, że są oczy, które mogą od razu zabić?... Oczy młodej kobiéty —

— Tylko oczy bazyliszka zabijają. A zresztą co tam rzeczy w bawełnę obwijać. Czy się nie dorozumiewasz, do czego ja dążę? Czy ci domyślne serce nic nie mówi? Pułkownik chory, fortunka jego —

— Przyznam się ojcu, że mnie coś gwałtem do podróży ciągnie.

— No, no, no, do podróży... dobrze! Tylko dalej... do podróży, ale gdzie?

— Do Warszawy!

— Brawo! Odgadłeś wszystkie myśli moje. Trzeba korzystać, gdy koło fortuny w górę się podnosi. Kiedy człowiek umierać może, i stary pułkownik umrze. Rozumiesz Karolu? Jedź do Warszawy, kiedy masz takie dobre przeczucie. Może ją gdzie znajdziesz, może ją ręką ułapisz

i przy sobie zatrzymasz... tę kapryśną i wietrzną kobiétę, jadącą na wózku o dwóch kołach...

— Zkąd ojciec wie, że ona kapryśna i wietrzna? Gdzie się ojciec tego dowiedział?

— Gdziem się o tem dowiedział?... A przecież jeszcze w szkołach uczono mnie, że jest kapryśną i niestałą, i fawory swoje rozrzuca na około mając oczy chustką zawiązane!

— O kimże ojciec mówi?

— A jużci — o fortunie!

Nastąpiło teraz dłuższe milczenie. Na twarzy pana Benedykta malowało się widoczne zadowolenie. Zdawało mu się, że upornego syna przekonał wreszcie o potrzebie pojechania do Warszawy. Również zdawało mu się, że wymyślony powód podróży udał się także wyśmienicie. Już naprzód cieszył się i zacierał ręce, jak to wszystko opowiadać będzie księdzu proboszczowi. Przeprawa bowiem z Karolem zawsze była trudna, a dzisiaj tak mu się udała!

Karol również miał jakąś pogodę na twarzy. Marzył o czemś przyjemnem. Ładne usta jego składały się często do śmiechu. W niebieskich oczach migotały jasne przezroczyste promienie.

— A więc *ad rem!*—zawołał po chwili pan Benedykt.— Każda dobra myśl to tak jak ryba. Do trzech dni trzeba ją zjeść, bo inaczej zepsuje się na nic. Jeżeli droga, to droga! Zasiane wszystko, resztę ja ukończę.

— Rozkaz czyli rada ojca przychodzi mi w porę — odparł po chwili Karol. — Całą noc myślałem nad tem, jakby to ojcu moje życzenie przedłożyć, a cała rzecz tak łatwo się skleiła! Mam dobre przeczucie.

— I mnie dzisiaj jakoś lepsza bierze otucha, że wrócisz z Warszawy — nie sam.

— Nie sam?... — powtórzył zdziwiony Karol — co właściwie chciał ojciec tem powiedzieć?

Zakłopotał się pan Benedykt, bo zdradliwe słowo samo z ust mu się wymknęło i dodał prędko:

— Rozumiałem fortunę starego pułkownika, który jest chory, a wiadomo ci, że my najbliżsi krewni —

— Przecież pułkownik żyje jeszcze, a spuścizna po żyjącym nie godzi się —

— Słusznie, bardzo słusznie — przerwał pan Benedykt uderzając się w usta, za karę — *peccavi, peccavi!* Ot człowiek stary i nie wie jak mu tam język lata. Oby Wszechmocny Bóg dał pułkownikowi lata jak najdłuższe!... Ale przecież ludzka przezorność nie zawadzi. Trzeba koniecznie abyś pojechał. Pójdziesz raz drugi i trzeci do pułkownika. Może jest sam i niema nikogo przy sobie. Przecież obowiązek chrześciański każe nam pamiętać o chorym bliźnim. A pułkownik to przecież blizki krewny... Od pana rejenta dowiesz się zapewnie, czy pułkownik uporządkował swoje interesa.

W tej chwili zadzwoniono w kościółku na mszę świętą.

— Możebyśmy poszli na tę intencyę wysłuchać mszy świętej? — zapytał pan Benedykt.

Karol zgodził się na tę propozycyę. Obaj wzięli czapki i w milczeniu udali się do kościółka.

Ojciec i syn klęczeli niedaleko ołtarza zatopieni w niemej modlitwie. W kościele było prawie pusto.

Podczas nabożeństwa uczuł Karol w duszy jakieś dziwne rozrzewnienie. Dawno, bardzo dawno nie doznał podobnego uczucia. Było ono więcej smutne i bolesne. Zdawało mu się, że na długo, na długo żegnał ten kościółek, w którym po raz pierwszy uczył się modlić do Boga, i jemu pragnienia swoje przedstawiać!... Zdawało mu się, że przed nim rozpościera się jakaś nowa, nieznana droga, z której nie wie, czy i kiedy wróci!... Wszak podróż do Warszawy odbywał tak często, czemuż dzisiaj tak dziwnie nastraja go samo wspomnienie tej stolicy, która niegdyś tyle roskoszy miała dla niego? Czy po nad głową jego przeciągła złowroga chmura nieszczęścia? Czy stróż-anioł wił mu w tej chwili wieniec cierniowy?...

Po skończonem nabożeństwie zabrał pan Benedykt księdza proboszcza z sobą na przekąskę. A gdy Karol do swego pokoju po cygara wyszedł, wziął pan Benedykt proboszcza za klapę i rzekł:

— Wybornie mi się udało! Nad spodziewanie! Ani się domyśla naszego założonego planu! Zaraz napiszę do rejenta, aby mu tę jedynaczkę zgrabnie przed oczy postawił.... Ale mówię ci *reverendissime*, nie obeszło się bez walki. Tuż, tuż jakby mnie był złapał na gorącym uczynku. Przecież dzięki Bogu, jakoś się wyśliznąłem i zmyliłem trop przed nosem myśliwego....

Karol wrócił właśnie z cygarami.

V.

Za trzy dni był już Karol w Warszawie.

Działo się to za czasów rządów Mikołaja. Warszawa była cicha i stateczna. Panował w niej grobowy pokój i wzorowy porządek, jak to ongi powiedział senator francuski. Po ulicach chodzili ludzie porządnie ubrani i jak się zdaje niegłodni. Odzianych w łachmany i głodnych chwytała władza porządku i ukrywała ich starannie przed widokiem publiczności. Na ulicach zakazane były wszelkie excessa, jakoto: kupienie się niepotrzebne, głośne rozmawianie i palenie cygarów. O jednych i tych samych godzinach słyszano trąbkę i taraban, i widziano oddziały siły zbrojnej postępujące zawsze jednakim, odmierzanym krokiem. Mieszkający bliżej cytadeli widzieli, jak się jej bramy zawsze o jednej i tej samej godzinie odmykały i zamykały; słowem, wszędzie i we wszystkiem był spokój i porządek.

Zdawało się że i Karol, przyjechawszy do Warszawy, zastosuje się do porządnych form życia, że zaraz po ulokowaniu się w hotelu odwiedzi rejenta i starego pułkownika, a poznawszy za dwa dni upragnioną i posażną je-

dynaczkę, oświadczy się jej i tę radość zawiezie do dworku pana Benedykta!...

Tak się jednak nie stało! Widać, że przeznaczeniem Karola było pominąć tę, tak prostą ścieżkę życia!

Umieściwszy się w jednym z porządniejszych hoteli, wyszedł Karol zaraz na miasto. Przeszedł wzdłuż Krakowskie-przedmieście i większą część Nowego-świata. O rejen- drugi zmienił Karol system przeglądu. Wybrał się dosyć wcześnie ze swego mieszkania, zeszedł ze schodów na dół, i stanął przed tablicą numerowaną, na której napisane były nazwiska podróżnych.

Długi czas stał przed tą tablicą. Czytał z góry na dół i z dołu do góry. Zatrzymywał się przy każdem nazwisku i długo nad niem myślał. Zdawało się, że z poje-



ZAMEK W KRASICZYNIE.

cie, który mieszkał przy ulicy miodowej tuż obok trybunału, i o starym pułkowniku, który zajmował pokoik na strychu przy ulicy Bielańskiej, wcale niepomyślał. Za to prawdopodobnie myślał o pięknych twarzyczkach Warszawianek, bo każdy zgrabniejszy kapelusik, każda aksamitem połyskująca zarzutka zwracała jego ciekawe oczy.

Szczególny ten przegląd wszystkich warszawskich piękności trwał cały pierwszy dzień aż do wieczora. Na dyńczych liter, z charakterystycznego brzmienia chciał gwałtem odgadnąć, jak wygląda osoba podpisująca się tem nazwiskiem, jaki może mieć nos, usta i oczy...

Trudne to było zaiste zadanie. Nie obeszło się także przy tem bez nader bolesnych rozczarowań. I tak pod numerem trzydziestym przeczytał nazwisko: Kochańska. Zatrzymał się dłuższy czas przy tem ładnie brzmiącem słowie i byłby już do niego może ukryte swoje marzenia na-

wiązał, gdyby w tej chwili nie ujrzał otyłej z karmazynowym nosem jejmości, która właśnie od szwajcara żądała klucza od trzydziestego numeru....

Doznawszy jeszcze innych nie mniej bolesnych rozczarowań odszedł z westchnieniem od czarnej tablicy i najprościejszą drogą poszedł — wcale nie do rejenta ani do pułkownika — ale do drugiego hotelu.

W drugim hotelu stanął także przed takąż samą tablicą i znowu rozpoczął swoje studja.

Uczynił to samo w drugim, trzecim i dziesiątym.

— Czy pan jesteś Karol *** — zapytał z grzecznym uśmiechem i dobrotliwem wejrzeniem.

— Tak jest—odpowiedział zaniepokojony nieco Karol — Czy masz pan jakie polecenie do mnie?

— Raczysz się pan ze mną udać do piątego cyrkułu!— odpowiedział grzecznie posłannik.

— Do cyrkułu? — powtórzył Korol, a dreszcz zimny przeszedł mu przez wszystkie żyły. Czegoż odemnie chce policya?

Znający ówczesny stan Warszawy wyobrazi sobie



„Wojna“ (kopia premii do II. rocznika „Strzechy“).

W końcu wrócił się do pierwszego i rozpoczął znowu nowe studja książek, w których wpisane były nazwiska podróżnych.

I to wreszcie skończyło się, a skończyło jak się zdaje bez żadnego upragnionego rezultatu. O rejencie, pułkowniku i posażnej jedynaczce wcale nawet ani pomyślał, bo trudno przypuścić, że ich po hotelach szukał.

Wreszcie piątego dnia, kiedy już Karol ostatnią książkę ostatniego zajazdu przestudjował i sam nie wiedział, co dalej w Warszawie robić, zapukał do jego drzwi jakiś urzędnik w zielonym mundurze.

łatwo przestrach Karola. Naczelnik piątego cyrkułu był znany w całym mieście ze swojej gorliwości policyjnej. Opowiadano o nim bajeczne rzeczy. Miał tak nadzwyczajny dar czytania w rysach i oczach człowieka, że wyszedłszy na ulicę na pierwszy rzut oka poznawał zbrodniarza, złodzieja, oszusta i postępującym za nim policyantom dawał znaki umówione do dalszego śledzenia. Nigdy jeszcze nie zawiódł go taki experyment, a żydzi z ulicy franciszkańskiej bledli na jego spotkanie, nie dla tego, jak sami mówili, jakoby mieli być złodziejami i oszustami, ale dla tej prostej przyczyny: „żeby się wielmożny pan komisarz nie

pomylił!" Opowiadają nawet, że razu jednego szedł tenże komisarz Nowym-światem i spotkał żyda niosącego worek na plecach. Komisarz jak to było jego zwyczajem, zmierzył żydka i worek. Żydek zemdlał. Komisarz zbliżył się do niego, trącił laską żydka i zapytał:

— Cóż ci to żydku? Czy cię apopleksya tknęła, czy się zmęczyłeś przy otwieraniu zamków?

Żydek oprzytomniał, podniósł się z bruku, a biorąc napowrót worek na plecy, odparł:

— Nic mi nic, panie komisarzu! Ja tylko przestraszyłem się, aby pan komisarz się nie omylił, i nie myślał, że we worku niosę przemycane cygara. Ja ot kupiłem pół korca krup i niosę do domu.

Komisarz uśmiechnął się, skinął na stojkowego i kazał mu worek rozwiązać.

W worku były cygara!

Wyobrazi sobie każdy łatwo, w jakiem usposobieniu był Karol, gdy się oglądał za kapeluszem, aby stosownie do rozkazu udać się wraz z wysłannikiem do naczelnika piątego cyrkułu. I najgłębsze przeświadczenie niewinności nie odejmowało w takim razie ani trwogi w duszy ani dreszczu w ciele!

VI.

Był to dzień kwietniowy. Wiosenne powietrze, zaprawione wonią rozwijających się drzew, wywołało wiele mieszkańców Warszawy na place publiczne. Widać było po twarzach przechadzających się, że oddechają wolniejszą nieco piersią, bo w piersi tej z każdym wiosennym powiewem rosną dziwne marzenia.

I Karol był między nimi i tą samą co oni szedł drogą, a jak wielce różniło się jego usposobienie! Ciemne, czarne obrazy tłoczyły się w duszy jego, a każdy krok, który uczynił, wydawał mu się krokiem zbliżającym go do jakiegoś strasznego wyroku.

Niektórzy, wprawniejszego oka mieszkańcy, spostrzegli idącego w równej od Karola odległości urzędnika policyjnego, i wyczytali od razu z twarzy obu, co się święci. Trwożliwsi usunęli się zaraz na bok i nieoglądając się, pospieszyli dalej swoją drogą. Odważniejsi spojrzeli z oznaką litości w twarz Karola i westchnęli nieznacznie. Przeczuwali bowiem, że to nie mógł być ani oszust, ani złodziej, ani przemytnik tytoniu.

Po dziesięciu minutach, które Karolowi wydały się dziesięcioma latami, stanęli wreszcie w cyrkule.

Komisarz cyrkułu siedział sam jeden w ostatnim pokoju. Byłto człowiek średniego wzrostu, twarzy chudej, gładko ogolonej i czarnych nader przenikliwych oczu. Koło ust miał zawsze uśmiech dobrotliwy.

Gdy Karol do niego się zbliżył, komisarz odprawił sługę policyjnego i rzekł do Karola:

— Pan nazywasz się Karol***, jesteś z Podlaskiego i przybyłeś tu od dni pięciu!

Karol potwierdził to wszystko. Komisarz wstał, wlepił swe przenikliwe oczy w Karola i zapytał:

— Powiedz mi pan, kogo pan szukasz, na kogo pan czekasz w Warszawie?

Pytanie to wraz z badawczem spojrzeniem zmieszało Karola. Komisarz uśmiechnął się.

— Nie namyślaj się pan wiele — mówił dalej z tem samem wejrzeniem—słowa pana, jeżeli nie na gorsze, to na lepsze nic nie zmienią. Co się stać ma, to i tak się stanie.

Karol przybladł, obejrzał się za krzesłem, oparł się o poręcz i odparł:

— Zaprawdę, nie mogę zrozumieć pana komisarza! Nie wiem nawet do czego te słowa zmierzają.

— Więc się obaj wzajemnie nie rozumiemy — mówił dalej komisarz — a nie wiesz pan na to jakiego sposobu?

I dobrotliwy uśmiech komisarza przemienił się w tej chwili w tak dziwny wyraz, że Karol wstrząsł się cały jakby na widok śmierci. Coś go nagle za gardło ścisnęło, a kolana ugjęły się pod nim.

Komisarz stał ciągle przed nim z tym samym uśmiechem, z temi samemi wnikającemi oczyma.

— Mój panie — mówił dalej komisarz — przecież to i dla ślepego jest rzeczą widoczną. Od pięciu dni jak przyjechałeś pan do Warszawy, nic nie robisz, jak tylko wyglądasz, czy już przyjechał i pod którym stanął numerem...

— Kto taki? — odważył się w końcu Karol na zapytanie, opierając się silnie o poręcz krzesła.

— Przecież pan znasz jego nazwisko tak dobrze jak i ja, jeźli w hotelach po tablicach go szukasz!

— Zkądże-by on mógł przyjechać, jeźli po wszystkich hotelach go szukam?

— Może z Berlina, z Poznania, a może z Paryża?

Tu nastąpiła długa pauza. Komisarz nie zmienił postawy ani spojrzenia. Karol poznał ostatecznie, że tu idzie o jakąś wielką grę, w której nic nie mógł wygrać a wszystko przegrać. Jakkolwiek nie poczuwał się w duszy do niczego, nie wystarczało to mu jednak do uspokojenia się. Toż nic dziwnego, że zbladł jeszcze więcej.

Po długiej pauzie milczenia, położywszy rękę na piersi, odetchnął głęboko i rzekł drżącym od wzruszenia głosem:

— Zaręczam panu na wszystko, co mi jest najdroższem w życiu, że nikogo po hotelach nie szukałem, ktoby mógł z zagranicy przyjechać. Nie koresponduję w tym względzie z nikim, ktoby mógł być podejrzanym...

— Powiedz mi pan szczerze i otwarcie, jaki interes pana sprowadził do Warszawy?

— Aby uchylić się od wszelkiego podejrzenia wyznam zaraz na wstępie szczerą prawdę, choć to tyczy się tylko

wewnętrznych, rodzinnych stosunków, które właściwie powinny być po za granicą wszelkiej kontroli —

— Odchodzisz pan od rzeczy — przerwał komisarz — nie odpowiadasz pan na moje zapytanie.

— Więc chcesz pan, abym najskrytsze, familijne interesa tutaj przed panem wyjawił?

— Czekam od pana tylko takiej odpowiedzi, któraby mnie ze względu na mój urząd zadowolić mogła.

Karol milczał chwilę, zarumienił się i odparł:

— Więc powiem panu wszystko. Mieszka tu blisko nasz krewny były pułkownik * * *. Przed tygodniem otrzymał ojciec z Warszawy wiadomość, że pułkownik jest bardzo słaby. Gdyby pułkownik — co niedaj Boże — umarł, to nam jako najbliższym krewnym przypadłaby jego fortunka, o której twierdzą, że jest dosyć znaczną. Aby więc tej fortunki pilnować, kazał mi ojciec tu przyjechać i starego pułkownika pilnie odwiedzać. Otóż już wszystko.

Po wypowiedzeniu tego wszystkiego zarumienił się jeszcze bardziej Karol, bo zdawało mu się, że własnego ojca o wygórowane samolubstwo oskarżał. Zdawało mu się jednak, że inaczej postąpić nie mógł, bo niebezpieczeństwo było groźne.

Komisarz słuchał go z tym zimnym przeszywającym uśmiechem, który był w stanie zamrozić człowieka. Karol wytrzymał ten uśmiech szczęśliwie. Po chwili zbliżył się komisarz do niego, wziął go za klapę i rzekł:

— Jesteśmy sami. Nikt nas nie widzi, nie słyszy. Nie napisałem tego do protokołu, coś pan teraz mówił. Nie może więc to świadczyć przeciw panu. W tem niech pan widzi moją życzliwość. A teraz, jako osoba prywatna, jako przyjaciel powiem panu, żeś pan skłamał!... Pułkownik jest zdrów jak ryba. Widuję go codziennie chodzącego po alei jerozolimskiej. Mieszka przy ulicy Bielańskiej w izdebce na poddaszu, o czem pan jako bliski krewny wiesz doskonale, i niepotrzebujesz szukać go po hotelach i wczytywać się w książki podróżnych... Tem jednem oczywistem kłamstwem dajesz pan policyi dostateczny powód osadzenia cię w kozie!

Komisarz wymówił te słowa z właściwym mu akcentem, który do szpiku wnikał, i patrzał dalej na biednego Karola owym dziwnym, przeszywającym wzrokiem, którym mógł najdzikszego zwierza oswoić.

Karol nie należał wcale do ludzi twardej, dzikiej natury. Wrażliwy i miękkiego serca nie miał w sobie odwagi, aby grożącemu niebezpieczeństwu śmiało czoło postawić. Zresztą tłumaczyć go może w takim razie to rozpowszechnione podówczas mniemanie, że w podobnem położeniu żadna, choćby herkulesowa odwaga na nic się nie przyda. Nie pozostało mu więc nic innego, jak tylko zblednąć jeszcze więcej i silniej o krzesło się oprzeć.

Po chwili jakiejś dziwnej, bezmyślnej trwogi, wrócił do przytomności, ale na to tylko, aby tem więcej się przestraszyć. Gdy bowiem wszystko to, co powiedział, z usłyszaną repliką komisarza zestawił i porównał, przestraszył się logicznością całego komisarskiego wywodu. Były dowody najoczywistszego jego kłamstwa. A kłamstwo to w czasie takim, w którym policya prawdopodobnie jakiemś śledzeniem zajętą była, równało się już samo przez się tak wielkiemu wykroczeniu, za które można się było długi czas przesiedzieć w kałauzie.

Biedny Karol ledwie czuł bicie serca, zaledwie mógł rozeznać, że przed nim stoi urzędnik policyi.

Komisarz złagodził swój uśmiech, położył rękę na ramieniu Karola i rzekł do niego po chwili:

— Widzisz pan, że wszędzie droga zamknięta. Powiedz więc pan otwarcie, a daję panu słowo honoru —

Tu zatrzymał się komisarz, jakby naumyślnie nie chciał zdania dopowiedzieć. Nie zważał na to w tej chwili Karol. Miotały nim dziwne uczucia. Najpierwszem z nich była oczywiście bojaźń o bezpieczeństwo osobiste. Po niem następował wstyd, że tłumacząc się posądził własnego ojca o wygórowany egoizm. Chciał więc jednemu i drugiemu zadość uczynić, i postanowił bądź co bądź wyspowiadać się komisarzowi z tego, czego nawet przed sobą dotąd jeszcze głośno nie wymówił. Z głębokiem więc westchnieniem zaczął:

— Panie komisarzu! Nie wiem, jaki szczególny traf oddał mnie panu w ręce i stosunek nasz wzajemny tak pogmatwał, że tylko najszczersza spowiedź od wszelkiego podejrzenia uwolnić mnie może. Przystępuję do tego z wielką goryczą i pewnym wstrętem. Są rzeczy, które radzibyśmy przywalić kamieniem w głębi serca, aby ich nikt nie dojrzał. Nietylko że je przed obcymi zręcznie osłaniamy, ale nawet wahamy się wymówić je głośno.

Oczy komisarza zamigotały dziwnym blaskiem. Przysunął się jeszcze bliżej do Karola i rzekł do niego:

— Wszak mówiłem panu, że nikt nas nie widzi, nie słyszy. Jesteśmy sami.

— Ręczę panu, że gdyby była przy nas trzecia osoba, to wolałbym pójść do cytadeli i nie wyrzekłbym ani słowa.

— Bardzo panu wierzę. Są słowa, są wyznania, które tylko mówią się w cztery oczy... Siadaj pan.

— Więc zaczynam. Było to przed tygodniem, kiedy wracając z pola zdążyłem do wąwozu, który prowadzi do przewozu...

— Może pan zapalisz cygaro, prawdziwe havanna. Proszę, tu jest ogień. Weź pan dwa zapałki na raz.

— Dziękuję... Gdym był blisko tego wąwozu, obaczyłem na prómie karetę, czterma końmi zaprzężoną. Konie zaczęły się niepokoić. Z karety wysiadły trzy kobiéty. Szły piechotą aż na drugi brzeg Bugu. Potem usiadły na wzgórzu i długi czas z sobą rozmawiały.

— O czem rozmawiały?—zapytał komisarz wypuszczając z ust biały kłąb dymu.

— Nie wiem, bo byłem zbyt daleko. Widziałem tylko że młodsza z nich płakała i ręką jakby na Bug wskazywała. Druga, zdaje się że matka, pocieszała ją i ciągle rękę ku zachodowi trzymała.

— I cóż pan ztąd wnosisz?

— Ztąd nic nie wnoszę. To tylko wiem, że młoda kobiéta wyglądała jak istny anioł, który jednak bolał nad czemś...

— Do czegoż to wszystko zmierza?

— Czy pan się nie domyślasz? Podobała mi się ta młoda nieznajoma, a prawdę mówiąc, prawie... zakochałem się!

Komisarz odłożył cygaro. Założył w krzyż ręce i znowu spojrzał na Karola tym zimnym, szyderskim uśmiechem.

— Otóż — ciągnął dalej Karol — to jest jedyny cel mego przyjazdu do Warszawy.

— I dlatego chodziłeś pan przez pięć dni po hotelach, szukając tej pięknej nieznajomej.

— Szukałem jej po hotelach, po ulicach, kościołach, w teatrze i na koncertach.

— I nigdzie pan jej nie znalazłeś?

— Nigdzie!

Komisarz pomyślał chwilę. Na czole jego rysowało się nieukontentowanie. Był on podobny do myśliwego, który strzelał do dzika a ubił szaraka. Mimo to nie tracił jednak fantazyi. Z uśmiechem człowieka światowego rzekł do Karola:

— Za tak szczere wyznanie jestem panu winien wdzięczność. Postaram się pomódz panu w wyszukaniu tej pięknej nieznajomej. Powiedz mi pan jakie konie, jaka kareta, jak były ubrane kobiéty, furman...

Biedny Karol nie zrozumiał tej dziwnej uprzejmości komisarza. Nie wiedział, że to miała być tylko kontrola jego wyznania. Z uśmiechem szczęśliwego człowieka, odetchnąwszy pełną piersią powstał z krzesła i rzekł:

— Zaiste, zaczynam wierzyć w dziwną nadzwyczajność całego tego zdarzenia. Może być, że przeznaczeniem mojem było, tak niezwykłą drogą dojść do mego szczęścia.

— A może też i mojem przeznaczeniem było wziąć niejaki udział w szczęściu pana — odparł z uśmiechem komisarz i ukłonił się Karolowi, który wypowiedziawszy wszystko co miał na sercu, swobodnie oddechał.

Z wolną piersią wyszedł Karol na ulicę. Zdawało mu się, że powietrze jest wonniejsze, ze słońce jaśniej świeci!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZAMEK W KRASICZYNIE.

(Obacz drzeworyt na str. 24.)

Jednym z najpiękniejszych i najlepiej utrzymanych gmachów starodawnych w tej części Polski jest zamek Krasiczyński. Fundamenta tego zamku założył Stanisław Krasicki, kasztelan przemyski w r. 1592. Zbudowany on jest w stylu gotyckim, w kształt dużego czworoboku, o czterech wieżach narożnych, ozdobionych koronkowym filigranem, i o wspaniałej bramie wjazdowej, przypominającej podwoje najsławniejszych świątyń Europy. Nad bramą wznosi się piękna wieża z zegarem, a podwórzec obszerny obiegają dokoła kryte galerye. Z zewnątrz obwiedziony jest cały zamek szerokim okopem, napełnionym wodą. Wnętrze zamku odznacza się równym przepychem, jak zewnętrzna jego budowa. Na ścianie kaplicy znajdują się popiersia cesarzów niemieckich, wielu królów polskich i sławnych mężów. Okazałe salony przyozdobione są arabeskami, pomalowanemi głowami, robionemi snycerską robotą z drzewa, obrazami w złoconych ramach, które przedstawiają zdarzenia z czasów Zygmunta III. i Władysława IV. Komnata baszty zwanej papiezką, ozdobiona jest wizerunkami papieżów. Wszyscy trzej Wazowie zaszczycali zamek krasiczyński swojemi odwiedzinami, goszcząc u jego właścicieli. Obecnie dobra krasiczyńskie należą do książąt Sapiehów, którzy nie szczędzą kosztów na utrzymanie w jak najlepszym stanie starożytnego zamku krasiczyńskiego. Stanisław Okraszewski słusznie napisał w Bibl. Warsz. (1842 r. II. 479): „gdyby zamek krasiczyński znajdował się w Anglii lub w Niemczech, odbywanoby doń pielgrzymki, a kosztowny opis z rycinami zapoznałby świat cały z najskrytszym jego zakątem. U nas zaledwie kto wie, że jest Krasiczyn na świecie.“ *L. T.*

WOJNA.

(Obacz drzeworyt na str. 25.)

Wierni naszemu założeniu ofiarujemy szanownym abonentom „Strzechy“ przy IIgim roczniku znowu premię, której wyboru nie zgani nam pewnie najwybredniejszy nawet miłośnik sztuki. Przepyszna rycina litograficzna w wielkim formacie, której kopię zmniejszoną załączamy tu w drzeworycie, przedstawia z całą wiernością jeden z ostatnich i bez zaprzeczenia najjenialniejszych utworów ś. p. ARTURA GROTTGERA — obraz, w którym natchniony mistrz z niezrównaną potęgą poezyi i sztuki uzmysłowił we wzniosłej alegoryi całą okropność i zgrozę najstraszniej-

szej plagi, trapiącej ludzkość od wieków pod nazwiskiem wojny. Z boku, na pierwszym planie obrazu, przedstawia się w uderzającem podobieństwie postać samego artysty, przejętego bolesną grozą na widok tego, co mu się objawia, a od czego odwraca nawet oblicze świetlany jeniusz jego niewieści, oparty na nim niby nowożytna Beatryka na ramieniu Dantego. I zaprawdę — jest od czego odwrócić oczy! — gdyż w dalszej nieco perspektywie przesuwa się na dzikim rumaku zbrojne widmo z narzędziami mordu i pożogi, a tuż obok niego i za nim ciągnie straszliwy korowód czarnych mar, wyobrażających głód, mór, rozpacz i niewolę. I kogożby widok taki nie przejął do głębi, ktoby mógł patrzyć bez zachwycenia na takie dzieło, uderzające na pierwsze wejrzenie zarówno wzniosłością ducha jak i mistrzowskiem wykończeniem? Dlatego też pozwalamy sobie żywić miłą nadzieję, że co najmniej poczytaną nam będzie za dobrą usługę staranność o rozpowszechnienie tego arcydzieła.

Nadmienić musimy jeszcze, że obraz ten, znajdujący się jako droga pamiątka w ręku prywatnem i udzielony nam wyłącznie na użytek „Strzechy,“ jest podług orzeczenia samego autora streszczeniem owego album, złożonego z jedynastu kartonów, które pod nazwą „Wojny“ nabył cesarz austryacki na wystawie paryskiej przed samym zgonem tego nieodżałowanego artysty; ztąd też rozumie się samo przez się, że wszelkie samowolne podrabianie tego utworu byłoby naruszeniem cudzej własności.

Wydawca.

KRONIKA.

(*Z kraju.*)

(Rozprawa o wiadomościarstwie brukowem. Rzecz o sporach małżeńskich. Ruch naukowy i literacki. Odczyty pana Szmitta. Kurs naukowy dla kobiét. „Wojna“ Grottgera. Akwarele Tepy. Portret hr. Gołuchowskiego.)

Pisma codzienne i tygodniki mają przed nami tę korzyść, że przy braku ważniejszych rzeczy wolno im donosić w kronice o wypadkach małego bardzo i przemijającego znaczenia. Miesięczna zaś kronika powinna zdawać sprawę tylko o takich faktach, któreby wydarzywszy się w jednym miesiącu, w następnym nie przestały jeszcze być pamiętnemi. Jeżeli zaś, stosownie do programu „Strzechy“ wykluczymy z tych sprawozdań politykę — to cóż nam zostanie np. z miesiąca października, coby w listopadzie miało jeszcze jakie takie prawo do figurowania w kronice? Najśmielsze rabunki, najsprytniejsze kradzieże, najokrutniejsze morderstwa, najbardziej zagadkowe samobójstwa, otrucia itp., najokazalsze pożary, wszystko to powtarza się co miesiąc mniej więcej w tej samej ilości i musi być świeżo podane, jeżeli ma interesować czytelnika. Nawet ciekawsze od tamtych płoteczki małżeńskie, jakiemi ten i ów dziennik urozmaica swoim abonentom przestrzeń papieru, dzielącą wiadomość o konkursie na tron hiszpański od doniesienia o konkursie na posadę kancelisty przy tym lub owym sądzie powiatowym, nie miałyby żadnego uroku na tem miejscu w „Strzesze“; — świat dowiaduje się o nich bardzo prędko, czasem nawet prędzej, niż się zdarzy powód do nich w rzeczywistości. Na dowód, z jaką szybkością rozchodzą się historyjki tego rodzaju, niech posłuży fakt następujący: Pewien zbieracz nowin brukowych i niebrukowych, zapragnął wytchnienia i na parę dni uciekł na wieś, ażeby bodaj przez ten krótki czas nie słyszeć już nic i nie myśleć o autonomii i centralizacyi, o złych chodnikach i o niedostatecznem oświetleniu, o emancypacyi żydów i o wykupnie propinacyi, o wypadkach wypadnięcia przez okno i rozjechania przez powóz itp. Rzecz naturalna, że do ostatniej chwili pełnił on tu swoje urzędowanie, zbierał skrzętnie wszystkie najnowsze wiadomości i wsiadając do wagonu miał się za człowieka najlepiej może poinformowanego w całem Lwowie. Ujechawszy mil dwadzieścia wstępuje do dworu szlacheckiego — aż tu na pierwszym wstępie stawiają mu pytanie, czy pan Y. odszukał już swoją żonę? — Ależ jej wcale nie zgubił — odpowiada z miną doskonale poinformowanego korespondenta najwiarygodniejszego i najlepiej poinformowanego pisma pod słońcem. — Jakto, nie zgubił! I nuż opowiadać mu z najdrobniejszemi szczegółami historję, która wydarzyła się była w stolicy przed 24 godzinami, i o której on, nowiniarz z powołania, on, o którym przyjaciele i znajomi mniemają, że wie, co wczoraj o godzinie 7mej wieczor myślał cesarz Napoleon i co będzie myślał dziś o godz. 2giej po południu, słowem on, regulator opinii politycznych i socyalnych, literackich, propinacyjnych i artystycznych dla trzech tysięcy stu dwudziestu i czterech płacących, a siedmiuset pięćdziesięciu i pięciu gratysowych abonentów, nie miał tyle wyobrażenia, co gramatykarz galicyjski o pochylonem à wielkopolskiem. Pani Y. zgubiła się, a on nie wiedział nic o tem, może się już i znalazła, a on jeszcze nic nie wie! To też zaraz po powrocie ze wsi wziął dymisyę z posady wiadomościarza brukowego; obrał sobie inne, mniej mozolne zajęcie, i teraz już nietylko pan Y, ale pan X. i pan Z. może sobie zgubić swoją żonę, i odszukać ją bez jego publicystycznej interwencyi. Bo proszę państwa, poco to kłaść palce między drzwi? Żona to nie szkatułka, może się łatwo zgubić i łatwo znaleść, zaś po znalezieniu pan mąż dostanie się znowu pod pantofel; a kto oberwie po uszach? Oto kronikarz, który mięszał się w nieswoje rzeczy.

Ale choć wykluczone są raz na zawsze z referatu niniejszego wszystkie katastrofy małżeńskie i inne, powyżej wyszczególnione, zostaje nam obszerna dziedzina ruchu naukowego, literackiego i artystycznego.

Trochę to za szumna frazeologia, mówić u nas o „obszernej dziedzinie“ pod temi trzema względami. Nauki ruszają się u nas bardzo powoli, są gałęzie, w których nie zawstydzamy nawet Kochinchińczyków i mieszkańców Archipelagu australskiego. Ot, kończymy gimnazjum, robimy maturę, potem rigoroza, i czekamy niecierpliwie końca obowiązkowéj siedmio-

letniej praktyki, ażeby zostać mecenasami—jużci nie sztuk i umiejętności. Jakób nie wyglądał z takiem utęsknieniem końca siódmego roku, który miał sprowadzić Rachelę w jego objęcia, jak koncypient adwokacki wygląda końca 7mego roku, który mu sprowadzi pierwszego klienta i pierwszą antycypacyę na rachunek procesu, mającego przetrwać kilka pokoleń różnych mecenasów. Ci, co nie zostają adwokatami, obierają sobie inny jaki zawód chlebodajny, nauka jako nauka nie znajduje uczniów i zwolenników. Radbym, ażeby to było nieprawdą, nie będę się upierał, ze w tych moich miesięcznych „Rachunkach“ all is true; owszem, nie wszystko prawda, co się drukuje, ale cóż powiedzieć o stanie nauki u nas, jeżeli profesorowie nawet kształcą się tylko tak długo, póki nie otrzymają posady, jeżeli lekarze z rozpoczęciem praktyki zapominają, że umiejętność z każdym dniem postępuje naprzód? Zaczynamy atoli miewać coraz częstsze i chlubniejsze wyjątki od tej smutnej reguły; większa nieco liczba wychodzących z druku polskich dzieł naukowych, ruch stowarzyszeń nakoniec świadczy o tem wymownie, ale to dopiero początki i wyjątki — reguła ciągle jeszcze zostaje regułą.

I o ruchu literackim nie wiele da się powiedziec pocieszającego. Zwrot ku pożytecznemu objawił się wraz z powolnem znikaniem pięknego, ale dwa te kierunki nie powinnyby wykluczać się nawzajem. Literatura, którą nazwałem „pożyteczną,“ nie może się jeszcze wyemancypować z pod opieki wydawnictw i stanąć o własnych siłach, jestto dziécię, które z litości pielęgnują w ochronce, bo zginęłoby, gdyby je bez opieki w świat puszczono. Bez tej opieki pojawiają się tylko publikacje treści politycznej, broszury itp., najczęściej przeżuwające tylko i rozwodniające to, co autor wyczytał w treściwszych i zwięźlejszych artykułach dziennikarskich, i co mu się tak w głowę nabiło, że uważa to za płód własnej myśli.

Powiedziałem, że piękno zaczyna znikać z naszej literatury. Nie chciałem przez to wyrazić, żeby nadobne piśmiennictwo wydawało mniej utworów, niż dawniej — owszem, pojawia ich się coraz więcej i najwięcej jeszcze znajdują pokupu. Tylko niestety, trudno spotkać się z czemś prawdziwie nadobnem. Powieść historyczna straciła głównych swoich koryfeuszów, powieść współczesna i obyczajowa razi po największej części jakiemś spaczonem, jednostronnem zapatrywaniem się na świat i na ludzi. Można się w niej spotkać z ubolewaniami na stosunki nigdzie nie istniejące, z obrazami mało gdzie pojawiających się fenomenów społecznych i towarzyskich, rzadko kiedy z prawdziwem odbiciem dzisiejszego społeczeństwa, jego głównych cech, wad i nielicznych zalet. Powieści drukują się po największej części w pismach perjodycznych, z których robią poźniej przedruki. Obecnie wyszły w ten sposób: Hybrydy Bolesławity (nakładem księgarni Gubrynowicza we Lwowie) i Trójka Stachurskiego. Poezya liryczna milczy, i dalipan ma słuszność, bo ile razy się odezwie, robi wielkie fiasco. Dramatyczna żywi się plagjatami i tłumaczeniami ramot cudzoziemskich. Oryginalne utwory nie mogą doczekać się przedstawienia na scenie; jednakowoż Syn Bohdana, dramat Leop. hr. Starzeńskiego, wprowadzony został w tych czasach na deski teatralne we Lwowie, i zapewne będzie wkrótce powtórzony. Radośną dla wszystkich miłośników piśmiennictwa ojczystego jest wiadomość o istnieniu nieznanych jeszcze utworów niezrównanego Aleksandra Fredry, ale te dotychczas niestety spoczywają w tece autora.

Do wiadomości o ruchu naukowym zaliczyć należy jeszcze otwarcie odczytów pana H. Szmitta z dziejów porozbiorowych naszej ojczyzny. Nader ważnem jest otwarcie kursu wyższego naukowego dla płci pięknej, urządzonego przez Towarzystwo pedagogiczne.

Z sztuk pięknych, malarstwo najwidoczniej i najpiękniej objawia u nas, że żyje. Nie powinienby się już w tej chwili znaleść żaden zamożniejszy nieco dom polski, któryby nie posiadał zbioru fotografii z rysunków śp. Grottgera. Jego ostatnie dzieło: „Wojna“ (znane pod tytułem: W padole płaczu) stanowi jeden z najwznioślejszych poematów: to nie rysunki, ale tercyny dantejskie. Każdy z jedynastu obrazów, z których składa się to album, przemawia tak silnie do widza, że oniemieć możnaby z bolu i rozpaczy, gdyby genjusz poety nad tem piekłem ziemskiem, które nam przedstawia, nad temi widokami nędzy i cierpienia, nad temi strasznemi ofiarami jakiejś niewidzialnej a wszędzie przytomnej, nieludzkiej, dzikiej potęgi, nie był położył więcej chrześcijańskiego napisu, niż Alighierego: Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate. Napisem tym, godłem zbawienia jest anioł, który wieszcza-artystę prowadzi po „padole płaczu,“ anioł bolejący, smętny, ale — anioł. Nie ma rozpaczy, nie ma wiecznej śmierci i zagłady, kędy z poza łzawej zasłony jaśnieje jeszcze wiarą, nadzieją i miłością niebiańskie oblicze anioła, i nie potrwa piekło na ziemi, póki iskierka boża, święta jak to oblicze, tkwi w sercu człowieka. Nie rozpaczaj — zdaje się anioł mówić wieszczowi — oto są jedni drugich katami, oto szakal i hyena mają więcej litości od nich, oto porwali dziécię matce, płonie strzecha rodzinna, zbezczeszczone groby, oto wizerunek Zbawiciela pastwą jest swawoli żołdackiej — ale Chrystus zwycięży! I odchodzisz smutny, zadumany, ale silny na duchu, jak po szczerej i gorącej modlitwie.

Wzmianka o nieodżałowanym artyście prowadzi nas do akwarel Tepy, wystawionych w sali ratuszowej, między któremi celujące zajmuje miejsce portret Grottgera, malowany z pamięci, a uderzający zarówno podobieństwem jak i artystycznem prawdziwie odtworzeniem rysów przedwcześnie zgasłego, szlachetnego młodzieńca. Jeżeli zarzucono kiedykolwiek Tepie, że obrazy jego mają raczej zalety fotografii, to zarzut ten co do tego portretu byłby zupełnie niesłuszny. Są to nietylko znajome rysy twarzy, ale z ram patrzy tu na nas Grottger, artysta, poeta, i to artysta i poeta — Polak. Wartość tego portretu jest rzeczywiście nieocenioną, jakkolwiek znawcy różne mu robią zarzuty.

Ciekawe są arkusze, które Tepa obok wystawy swojej umieścił, ażeby publiczność zwiedzająca zapisywała na nich swoje uwagi. Są tam pochwały i wykrzykniki w różnych językach, po polsku, po rusku, po francusku i po niemiecku, czasem spostrzeżenia krytyczne i inne, dość niedorzeczne. Niedorzeczne — skoro jeden z widzów, jak pisze „z polecenia babuni“ oświadcza, iż wystawa jest piękną, ale publiczność nie dowiodła „trafność sądu.“ Tuż pod tem napisał ktoś, że babunia powinna była nauczyć wnuczka po polsku, nim mu

kazała pisać. Tak to u nas najgenialniejsze spostrzeżenia trafiają na żartownisiów, którzy chwytają się to gramatyki, to ortografii, by odeprzeć nieprzychylną krytykę.

Między wystawionemi akwarelami uderza głębszą myślą obrazek, przedstawiający chłopców powracających ze szkółki wiejskiej. Czytelnicy znajdą w „Strzesze“ wierną i dobrze wykonaną kopię tego małego arcydzieła, sądzę więc, że mogę wstrzymać się od opisu i od komentarzów. Reszta obrazków przedstawia typy ludowe, po większej części z nad Bugu w Żółkiewskiem. Jest i Marusieńka z okolicy Truskawca, na której widok ślinka tak zebrała jakiemuś zfrancuziałemu Galileuszowi czy zgalicyjszczonemu Francuzowi, że w języku nadsekwańskim pyta w owych arkuszach o adres tej podkarpackiej dziewuchy. Wszystko to malowane prześlicznie, z tem trudnem do określenia, poetycznem i harmonijnem uczuciem w kolorycie, które znamionuje akwarele Tepy. Natomiast nie można powiedzieć, by artysta wybrał do swoich obrazów postacie typowe, w których odbijałyby się wiernie: charakter i usposobienie naszego ludu wiejskiego. Są to naprawdę wierne portrety, ale przypadkowych tylko postaci. Gajowy np. z Radwaniec ma wyjątkową u wieśniaka ruskiego, rezolutną i zawadjacką prawie, więcej szlachecką fizjonomję. Więcej typowemi postaciami są stary gazda i gazdyni z Poturzycy. Charakterystycznym jest także obrazek, przedstawiający modlitwę żydów chasydów.

Pan Leopolski wykończył właśnie wielki olejny portret hr. Agenora Gołuchowskiego, który śmiało można nazwać arcydziełem. Obok żywej prawdy, rozlanej w całej postaci, obok ciepła i świetności w kolorycie, uderzać musi każdego wykończenie wszystkich najdrobniejszych szczegółów, nader licznych, a jednakowoż zlewających się w tak harmonijną całość, że żaden z nich nie psuje ogólnego efektu, żaden nie jest rzucony na płótno w tym nader widocznym celu: Patrzcie i podziwiajcie! — jak to się czasem wydarza i pierwszorzędnym artystom. W tem właśnie jest największa sztuka, by oko nieznawcy nie dostrzegło drobnych sposobów i sposobików, któremi artysta wywołuje efekt, ale by od razu uderzone było tem, co stanowi główny przedmiot obrazu. Widzieliśmy malowane wielkie sceny historyczne, przed któremi stawali widzowie i wołali najpierw: Ach, co za prześliczny dywan! — albo: Jakież brylanty! Jakby prawdziwe! I wśród tej admiracyi nie jeden ani spostrzegł, że go olśniły drobiazgi, wśród których znikła myśl i treść obrazu. O obrazie pana Leopolskiego niktby tego powiedzieć nie mógł, a jednak, przypatrzywszy się bliżej szczegółom, potrzeba wyznać, że wydają się prawie namacalne, że sukno, drzewo, złoto, szkło, aksamit — wszystko jest jak prawdziwe, ale wszystko ustępuje na drugi plan wobec żywo występującej postaci, wobec tętniącej życiem karnacji i śmiało rzuconego światła. Pan Leopolski może być dumnym z tego portretu.

F. R.

(Ze świata.)

(Próbka carskiego humoru.) Car moskiewski Paweł I. lubił wesołe towarzystwa, i często zapraszał na wieczory dowcipnych artystów. Do tego grona wybranych należał zawsze sławny komik paryski Fragére, który potrafił prędko zjednać sobie życzliwość cara.

Pewnego dnia zaczął jeden z gości przy stole wychwalać cesarskiego gospodarza kosztem Piotra Wielkiego.

Car zwrócił się do Fragéra i rzekł: „Nie prawdaż, kochany Fragére, to znaczy okradać Piotra, ażeby zapłacić Pawła.“

„Prawda najjaś. Panie“ — odrzekł aktor — „ale Wasza Ces. Mość możesz być zupełnie spokojnym o siebie, gdyż nikomu nie przyjdzie na myśl okradać Pawła.“

Odpowiedź była uszczypliwa, ale car przyjmował często spokojnie takie dowcipy, i śmiał się z nich nawet. Tym razem jednak pochmurniało jego oblicze, wkrótce wstał od stołu i wszyscy się rozeszli.

Fragére powrócił do domu wielce zakłopotany; dla dowcipnisia z profesyi był nieszczęśliwy dowcip przegraną bitwą.

Było to śród zimy i daleko jeszcze do świtu, gdy go obudziło gwałtowne stukanie do drzwi.

Wstał, otworzył i — któż opisze przerażenie jego? — gdy ujrzał przed sobą oficera z pięcioma lejbgwardzistami w pełnej zbroi, który doręczył mu podpisany przez cara rozkaz wygnania go na Sybir.

Fragére rozpaczał, targał włosy i wołał: „Jakąż popełniłem zbrodnię, którąby zasługiwała na tak okrutną karę? Czyż niemógłbym widzieć się z cesarzem, paść mu do nóg i błagać go o przebaczenie? Tylko dzień, tylko godzinę zwłoki!“

Ale błagał na próżno! Rozkaz był stanowczo wydany, a Paweł umiał przestrzegać dopełnienia swoich ukazów.

Nieszczęśliwy artysta zaledwie zdołał wyjednać od oficera, który się liczył do jego przyjaciół, kilka minut zwłoki, ażeby zabrać nieco bielizny i sukień, a potem musiał wsiąść do powozu, który otoczyła silna eskorta konna. Dwóch mużyków, z gołemi szablami w ręku i z pistoletami za pasem, siadło obok niego, zatrzaśnięto drzwiczki — i powóz ruszył galopem.

Ponura ciemność otaczała więźnia; towarzysze jego milczeli jak zaklęci, i pędzono tak kilka godzin bez ustanku. Naraz stanął powóz i otworzyły się drzwiczki.

Był już dzień biały; ale nie długo dozwolono mu cieszyć się światłem. Z zawiązanemi oczyma zaprowadzono go do jakiejś nędznej chaty, i gdy mu zdjęto przepaskę z oczu, ujrzał się w ciemnej izbie, oświetlonej tylko małym kagankiem, i tu dano mu jeść na drewnianej misce czarną aresztancką sałamachę — jemu, który niedawno jeszcze opływał w roskoszach, jadał przysmaki przy stole cesarskim i cieszył się względami cara. A teraz był w niełasce, wygnany, w nędznej chacie, raczony jadłem, którem pogardziłby jego służący, dokoła niego tylko ponure, groźne oblicza, ani słowa pociechy, straszliwa podróż przed oczyma: — biedny ginął z rozpaczy.

„Fragére, musimy się rozłączyć — rzekł oficer; — jakiej usługi żądasz odemnie? Narażam się okropnie; nie można bezkarnie przekraczać rozkazów cesarskich. Do kogoż mam udać się w Petersburgu, ażeby ci dopomódz?“ — „Udaj się do

cesarza“ — wyjąkał nieszczęśliwy. — „Niepodobna! Żądaj wszystkiego innego, tylko nie tego. Może chcesz, bym przechował twoje pieniądze, twoje kosztowności, dopokąd nie wrócisz? — „Więc jest przecież nadzieja powrotu? Nie jestem na zawsze wygnany?“ — „Zkąd znowu! Tylko na trzy lata, a te szybko przeminą.“ — „Trzy lata! —jęknął nieszczęśliwy artysta — trzy lata na Sybirze!“ Nowa eskorta przerwała jego utyskiwania, i z zawiązanemi oczyma powieziono go dalej. Po upływie całej doby zatrzymano się znowu, i nastąpiły te same formalności: ciemna izba, nędzne jadło, wszystko ponure i milczące.

Tak szło dalej przez trzy dni i trzy noce bez przerwy. Wreście zatrzymał się nagle powóz. Wyniesiono na pół martwego i posadzono na ławie. Przepaska nie ustępuje jednak z oczu. W pobliżu słyszy jakieś stąpanie, szepty i — co najokropniejsza — nabijanie broni. Zdjęto mu surdut i związano ręce.

„Baczność! Cel — pal!“

Muszkiety zagrzmiały — i Fragére runął bezwładnie na ziemię. Strach pozbawił go przytomności. Wreszcie ocknął się po chwili. Podniesiono go, posadzono na krześle i rozwiązano mu ręce; a gdy nakoniec przepaska spadła mu z oczu — ujrzał się w tej samej komnacie, przy tym samym stole i na tem samem miejscu, gdzie mu się wyrwał ów nieszczęsny dowcip, i otoczony tymi samymi gośćmi z carem w pośrodku. Przywitano go wesołym śmiechem; ale Fragére zemdlał powtórnie, niemógł przez długi czas opamiętać się z przerażenia, i odzyskał spokojność dopiero wtedy, gdy był już za granicą Rosyi.

I niebyłże to żart najgodniejszy moskiewskiego cara?!

(Nowo odkryte pokłady złota w Colorado) mają być podług doniesień listownych nadzwyczajnie obfite, a wzburzenie panujące w południowo-zachodniej części tego kraju równa się zupełnie kalifornijskiej gorączce złota; kolej żelazna Kansas-Pacific musiała znacznie pomnożyć liczbę swoich pociągów, by mogła przewozić napływające bez ustanku tłumy. Dotychczasowy plon złota i srebra w Colorado obliczają na 60,000.000 dolarów, zatem więcej niż Kalifornia wydaje. Także w Nowym-Meksyku odkryto bardzo obfite pokłady złota w pobliżu Mountains. W kopalni pracuje do 5.000 osób, a plon złota wynosi 10 do 50 dolarów na głowę dziennie, niekiedy zaś dochodzi nawet do 500 dolarów.

(Przesyłka mięsa) z Australii do Anglii oddawna jest celem usiłowań, które zdawały się obiecywać pomyślny skutek, ale zawodziły. Mięso przez długą podróż niedawało się dowieźć w stanie, jakiego wymaga zdrowe i smaczne pożywienie. Musiano poprzestać na przesyłaniu mięsa w postaci ekstraktu, przy wydobywaniu którego z mięsa trzymano się albo metody Liebiga, albo innej, wedle której 1 funt ekstraktu równa się 30tu funtom mięsa. Przecież ekstrakt jest ekstraktem, a nie mięsem. Pracują więc znów nad wynalezieniem sposobów przesyłania go. Jeden z przedsiębiorców zamraża na pół mięso; transport jego przychodzi do Anglii w grudniu; inny przedsiębiorca oddziela kości od mięsa, kładzie je na krótko w sól, potem starannie w płótno obwija, układa w paki i zalewa łojem, żeby przystępu powietrza nie dopuścić. Już niejeden taki ładunek mięsa przybył do Anglii i w dobrym stanie. Rozrywają mięso piorunem i płacą je dobrze. A ładunki bywają nie szpetne: np. 200 cetnarów wołowiny, 2,000 całych baranów i 2500 ćwierci baraniny. W Londynie nieznać tego prawie.

REBUS.



(Rozwiązanie w przyszłym zeszycie).

SZARADA.

Całe na cztery części się rozkłada;
Jeźli chcesz zgadnąć — taka moja rada:
Pierwszą wraz z drugą możesz znaleść święcie
Śród imion sławnych w starym testamencie.
Z pierwszą się trzecia w ciepłych krajach pleni —
I nawet smakosz potrawę z nich ceni;
Zaś pierwszę z czwartą — zlane w jednem słowie —
Mieliśmy w Polsce z koroną na głowie.
Dalej — gdy druga z czwartą się dogoni,
Znajdziesz ją wszędzie u ludzi i koni,
A dwie ostatnie gdy bez główki złożę,
Żyje to, lata i zranić cię może.
Wszystko nareszcie nazwiskiem jest miasta,
Lecz w którym kraju — niepowiem, i basta!

(Rozwiązanie w przyszłym zeszycie).

Poczta «Strzechy«.

Panu **B. K. w Mieszkowie.** Sonetu przysłanego umieścić nie możemy; powodu nie wymieniamy w interesie autora. — Panu **Alfonsowi „Smutek i Nadzieja.“** Fantazya muzyczna jest nie do użycia, i radzimy szczerze autorowi porzucić niewdzięczne rzemiosło wierszoklectwa. Panu **Maurycemu T. w Czortkowie.** Nie czytawszy powieści nie podobna mówić o jej przyjęciu; prosimy o przysłanie, a potem odpowiemy stanowczo. — Panu **Karolowi M. w Żelechowie.** Przysłane próbki poezyi są dość serdeczne, ale słabe. Może przyobiecany obrazek powieściowy lepiej wypadnie. — Panu **Jul. Konst. K. w Krakowie.** Gawęda poszła w kosz redakcyjny; dobre chęci nie wystarczają go pisania poezyi. — Panu **E. G. w Bełzie.** Z tytułu nie można sądzić o wartości rzeczy, trzeba ją poznać.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę F. H. RICHTER. Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO